

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2022/2

magazynhisteria.pl



DESZCZ
DUSZODLEWNIA
IN MEMORIAM: ADAM RUTKOWSKI
OCZY SARNY
O ZACHODZIE SŁOŃCA
PUSTE NOCE
SZAFA
YGGDRASSIL

SPIS TREŚCI:

DESZCZ	Aleksandra „Taiga” Dąbrowska	3
DUSZODLEWNIA	Marek Pieczara	11
IN MEMORIAM: ADAM RUTKOWSKI	Mikołaj Kołyszko	22
O ZACHODZIE SŁOŃCA	Tomasz Matuszewski	30
OCZY SARNY	Aleksandra Knap	41
PUSTE NOCE	Grzegorz Reiwer	48
SZAFA	Narcyz Florent	63
YGGDRASSIL	Michał „Sup” Nycz	69

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

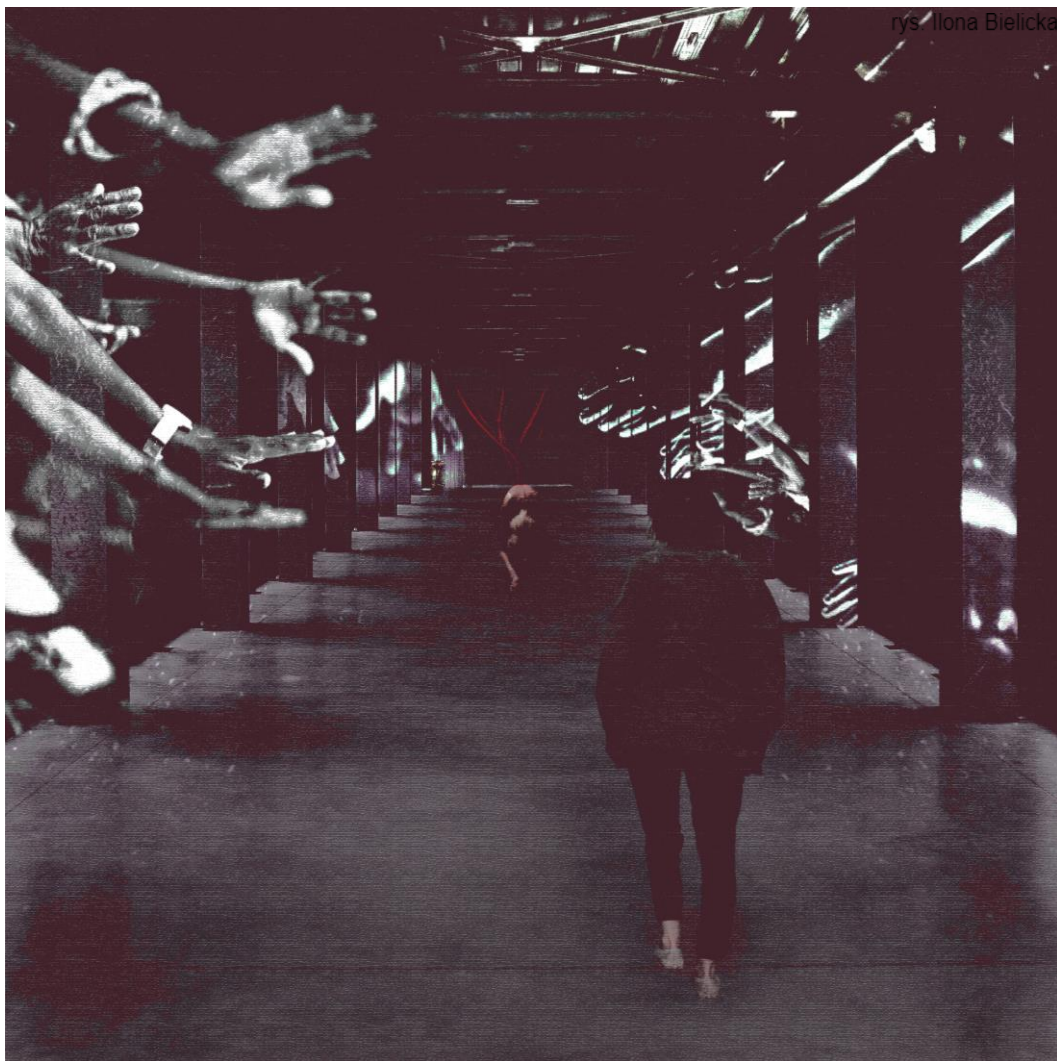
Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Marcin Czarnecki, Halmar, Krzysztof Kowalik, Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



DESZCZ

Aleksandra Taiga Dąbrowska

Mam ochotę stąd uciec. Wszyscy mają pusty, nieobecny wzrok, jednak czuję, że mnie obserwują. Jednocześnie z jakiegoś dziwnego powodu nie mogę oderwać od nich oczu, co wywołuje u mnie jeszcze większy niepokój. To nie są rzeźby. To są ciała ludzi dotknięte straszną chorobą. Każdy mógł się tu znaleźć, eksponaty są różnorodne: mężczyźni, dzieci, kobiety, nawet pies myśliwski stoi w kącie i szczerzy kły. Ze względu na sterylną czystość

i ostre białe światło, mogłoby się wydawać, że jest to szpital. Jednak nie jest to żadne prosek-torium, a główna sala wystawowa w Galerii Sztuki Nowoczesnej.

Czekam już dwadzieścia minut na autora rzeźb i zaczynam się irtować. Jedyne o czym myślę to jak najszybciej przeprowadzić wywiad i stąd wyjść, jednak dla pana Artura czas jest pojęciem względnym. W końcu słyszę kroki odbijające się echem po pomieszczeniu.

– Pani Natalia jak mniemam? – zagaduje do mnie wysoki mężczyzna. Pierwsze, co rzuca się w oczy to jego okulary z grubymi szklami.

– Tak – odpowiadam krótko. – Pan Artur?

– We własnej osobie – potwierdza tubalnym głosem, kłaniając się teatralnie.

Artur Asnyk ma w sobie coś irtującego. Cała jego persona wydaje się mocno przesadzona i fałszywa. Wygląd wskazuje na to, że stara się z całych sił kreować na światowego artystę: odrobinę za duży. Drogi garnitur, wokół szyi niedbale zawiązany szalik w jaskrawym kolorze i oczywiście, jak na prawdziwego ekscentryka przystało - na głowie kaszkiet. Nigdy bym nie pomyślała, że niegdyś był uznanym patologiem i specjalistą immunologii.

– Mam nadzieję, że nie czekała pani na mnie długo, ale ze względu na zaistniałą sytuację. – Marszczy brwi. – Mam dużo na głowie.

– Rozumiem.

Wiem, że przez „zaistniałą sytuację” ma na myśli śmierć sprzątacza. Jego zwłoki znaleziono dwa dni temu w głównej sali wystawowej, w której właśnie się znajdujemy. Mężczyzna popełnił samobójstwo, podcinając sobie gardło, co wstrząsnęło opinią publiczną.

– Możemy zaczynać? – pytam zniecierpliwioną.

– Oczywiście – odpowiada lekkim tonem. – Wszystko jest przygotowane – wskazuj na dwa krzesła i stolik usytuowane między rzeźbami. – Zapraszam.

Siadam na krześle jak bardziej oddalonym od dzieł pana Artura, Asnyk natomiast usadowia się przed rzeźbą wyciągając ku niemu ręce, jakby chciała złapać go za szyję.

– Wyraża pan zgodę na nagrywanie naszej rozmowy?

– Tak – odpowiada pewnie.

Kładę na stoliku dyktafon. Gdy zapala się czerwona dioda, przechodzę do rzeczy.

– Panie Arturze – zwracam się do niego oficjalnie. – Ostatnimi czasy jest pan na językach wszystkich krytyków sztuki przez kontrowersje, jakie wywołał pan swoją wystawą. Proszę opowiedzieć szerzej o swoich rzeźbach.

– Zacznę od tego, że sztuka dla mnie nie ma żadnych granic. – Rozsiadał się wygodnie i zakłada nogę na nogę. – Prawdziwy artysta nie boi się pokazywać brzydoty i fascynujących zjawisk, które dotykają ludzkie ciało.

– A nie uważa pan, że wykorzystywanie zwłok jest przesadą? Ci ludzie zostali dotknięci straszną chorobą wyniszczającą ich organizmy od środka.

– Po pierwsze, to ten wirus atakuje od zewnątrz, można powiedzieć, że jest to pasożyt pożerający ciało, co widać na pierwszy rzut oka. – Wskazuje rzeźbę za swoimi plecami. – Proszę się przyjrzeć.

Mój wzrok mimowolnie przenosi się na eksponat. Jest to kobieta, a raczej była to kobieta. Jej skóra jest trupio biała, jednak nie to zdaje się główną przyczyną fascynacji ludzi. Zamiast nóg ma czarne korzenie, których końce oplatają całą sylwetkę niczym pnącza. Przerażający widok - kłącza wystają w różnych kierunkach. Im dłużej się im przypatruję, tym bardziej mnie mdli. Na myśl przychodzi martwe, zgniłe drzewo pożerane przez... no właśnie, nie wiadomo co.

– Kojarzy pani Gunthera von Hagens? – zagaduje. – Szerzej znanego jako Doktor Śmierć?

– Tak. Znany jest ze swojego Plastynarium w Guben.

– No właśnie! – Mój rozmówca klaszcze w dłonie z ekscytacją. – W latach siedemdziesiątych opracował innowacyjną metodę preparowania zwłok i stworzył podobną wystawę. Plastynarium odwiedzają setki turystów rocznie, a jego prace okrążyły już cały świat. Ludzi fascynuje śmierć, dlatego moja wystawa cieszy się tak dużym zainteresowaniem.

– I uważa pan, że to moralne?

– Moralność jest pojęciem wymyślonym przez fanatyków religijnych, którą mierzą według własnych zasad. Jest to ograniczające i hamuje wiele działań naukowych i artystycznych. Przez takie osoby wystawienie moich prac było opóźniane.

– Jednak pana rzeźby zdecydowanie różnią się od tych w Niemczech.

– To prawda. – Uśmiechnął się. – Ja wykorzystałem ciała zaatakowane wirusem epidemii, z jaką zmagaliśmy się parę lat temu. Do tej pory naukowcy z ICD-10 badają pochodzenie tej choroby.

Razi mnie, w jaki sposób Artur mówi o tych ludziach, jakby byli przedmiotami, a wręcz jakimiś odpadami medycznymi. Boję się zadać następne pytanie, ale głęboko mnie ono nurtuje.

– Zapowiedział pan zupełnie nowy eksponat – waham się. – Mogę liczyć na uchylenie rąbka tajemnicy?

– Już myślałem, że mnie pani o to nie zapyta! – Jego twarz się rozpromienia, a uśmiech poszerza nienaturalnie. – Pokażę pani.

Wstaje i ruchem głowy zachęca, bym za nim poszła. Z lekkim ociąganiem również wstaje, po czym kierujemy się ku małemu pomieszczeniu. Na środku stoi coś dużego przykrytego czarną płachtą. Słysząc buczenie maszynierii.

– Proszę się przygotować, bo to, co pani zobaczy może być przełomem w badaniach nad patofizjologią.

Jednym zamaszystym ruchem ściąga płachtę i moim oczom ukazuje się mężczyzna podłączony do maszyny licznymi rurkami. Jego ręce trzymają podwieszono pod sufitem liny. Usadowiony na masywnym podeście różnił się od pozostałych rzeźb. Jego skóra zamiast spodziewanej bladości, ma naturalny kolor, a korzenie są krwistoczerwone. Można zobaczyć wszystkie żyły w jego ciele. Czuję, jak mój żołądek wywraca się na drugą stronę.

– Co to jest? – Z trudem wyduszam z siebie słowa.

– Robi wrażenie, prawda? – Artur dumnie wypina pierś, oczekuje ode mnie takiej reakcji. – Dzięki zaawansowanej technologii utrzymujemy tkanki przy życiu, dzięki czemu jego skóra ma normalny kolor. Maszyna na bieżąco przetacza krew, przez co ciało żyje.

– To on wszystko czuje? – pytam wzburzona. – Utrzymujecie go sztucznie przy życiu?

– Spokojnie, nie musi się pani denerwować.

– Jestem w szoku, z jakim spokojem do mnie mówi.

– Jego mózg jest martwy, więc nie odczuwa bólu, ani nie wykazuje większości funkcji życiowych.

– Czy to w ogóle legalne?

– Pacjent podpisał dokument, w którym zezwala na przekazanie ciała w celach naukowych.

– W celach naukowych? – Nie kryję oburzenia, chcę natychmiast zakończyć wywiad.

– Wystawiacie jego zwłoki w galerii sztuki jak jakieś wypchane zwierze! – krzyczę – wychodzę stąd.

Już zwracam się w stronę drzwi, jednak Asnyk staje przede mną, za ramiona i blokując drogę.

– Pani Natalio – mówi ze stoickim spokojem. – Usiądźmy i kontynuujmy rozmowę, wszystko pani wytłumaczę i wyjaśnię, że nie ma w tym nic oburza...

Nie kończy zdania, bo nagle gasną wszystkie światła w galerii. Nastaje ciemność. Wyłącza się również maszyna do podtrzymywania życia ciała, które chwilę wcześniej widziałam w całej okazałości. Zapada kompletna cisza.

– Cholera – klnie Asnyk. – Chyba wybiły korki.

Zapalamy latarki w swoich telefonach, wąskie stróżki światła oświetlają pomieszczenie.

– Niech pan zadzwoni po pomoc, a ja wychodzę. – Stwierdzam ostro i znowu kieruję kroki ku wyjściu.

– Niestety nie ma zasięgu – odpowiada zirytowany. – Nie otworzy pani drzwi, one również działają na prąd.

– Czyli jesteśmy tu uwięzieni? – moim głosi pobrzmiewa panika, serce wali i spłyca się oddech.

– Nie, jeśli pani się uspokoi i pomoże mi włączyć z powrotem bezpieczniki.

– No dobrze. – Biorę głęboki wdech, jednak niewiele to daje. Mimo to staram się brzmieć spokojnie. – Gdzie one są?

– W piwnicy.

– No chyba pan żartuje. – Czuję, jak zbliża się kolejna fala wzburzenia. – Nie ma takiej opcji.

– Czyli woli pani poczekać do rana w tej ciemnicy?

Ma rację, siedzenie przez kilka godzin w galerii nie ma sensu i nie jest to najlepszy moment na histerię. Chcę jak najszybciej stamtąd uciec i nigdy nie wracać.

– Dobrze. – Odpowiadam krótko.

Piwnica znacznie różni się od budynku galerii, która ma nowoczesny wystrój i panuje w niej sterylność: obskurne ściany, z których gdzieśgdy schodzi farba, na podłodze goły beton. Sceneria przywołuje na myśl opuszczony zakład zamknięty wyjęty wprost z horroru. Do tego cały czas mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje, a z tego co wiem jesteśmy w budynku całkiem sami.

– Daleko jeszcze? – pytam cicho jakby z obawy, że ktoś może nas słyszeć.

– Skrzynka z bezpiecznikami jest na końcu korytarz. – Odpowiada chłodno.

Dalej idziemy w milczeniu, a niepokój we mnie narasta. Co chwilę odwracam się za siebie, by upewnić się czy faktycznie nikogo za nami nie ma. W pewnym momencie dostrzegam cień i odruchowo łapię Artura za ramię.

– Widziałeś? – Wskazuję palcem puste miejsce.

– Jesteśmy tu zupełnie sami – zwraca się do mnie, jednak on też z trudem zachowuje spokój. – Patrz, jest skrzynka. – Również przechodzi ze mną na „ty”.

Świecę latarką na bezpieczniki, a Asnyk zaczyna w nich grzebać, jego dłonie delikatnie drżą. Po kilku minutach słyszymy pojedyncze trzaski dobiegające z góry, na korytarzu zapalają się pojedyncze żarówki.

– Częściowo przywróciliśmy prąd – stwierdza, rozglądając się po korytarzu. – Oby drzwi działały, bo nie mam zamiaru tu dłużej siedzieć.

– Zgadzam się.

Nagle słyszę głośny dźwięk, wydobywający się z mojej głowy, która zaczyna mnie mocno boleć. Wygląda to na atak migreny.

– Muszę skorzystać z toalety – mówię cicho.

– Mniej-więcej w połowie korytarza, po lewej stronie. Będę czekał na górze.

Przechodzę kilka metrów i znajduję drzwi do łazienki tak samo obskurnej i zaniedbanej jak korytarz. Goła żarówka ledwo oświetla pomieszczenie. Podchodzę do umywalki i odkręcam kran. Nadal słyszę dziwny dźwięk w głowie. Jednak moją uwagę przykuwa napisany markerem na ścianie:

Sq w mojej głowie

Czytam cicho, a po plecach przechodzi mi dreszcz.

Zamieram, gdy odwracam głowę w stronę toalet. W drzwiach pojawiają się czarne oczy śledzące każdy mój ruch. Dziesiątki czarnych źrenic wgapiają się we mnie z onieśmielającą intensywnością. Chcę krzyknąć, ale głos grzęźnie mi w gardle, a dźwięk w mojej głowie narasta. Następnie słyszę uderzenia dobywające się z luster nad umywalką. Zmuszam się, by spojrzeć w ich stronę i od razu tego żałuję. Po drugiej stronie znajduje się ludzka ręka, która miarowo puka w taflę lustra. Cała czarna, jakby pokryta sadzą. Nieoczekiwanie rozlega się wrzask, głos należy do Artura.

– *Co tu się do cholery dzieje?* – zastanawiam się odzyskując władzę w nogach. Wybiegam z łazienki. Wchodzę w sieć korytarzy, rozglądam się w poszukiwaniu schodów, jednak nigdzie nie mogę ich dojrzeć. Biegnę prowadzona przez krzyk Asnyka.

Jestem skołowana, nie mam pojęcia co się dzieje, tracę zmysły. Nagle wszystko zamienia się w jednolitą plamę, czuję ucisk w okolicy gardła, a twarz i ciało coś oblepia. Dociera do mnie, że na całą górną część ciała mam założony plastikowy worek. Energicznie poruszam rękami, by się wydostać, ale nadaremnie. Próbuje zassać folię, by ją przegryźć, jednak czynność ta sprawia, że zupełnie nie mogę oddychać. Wpadam w panikę, zaczynam się szarpać, z każdą sekundą ubywa powietrza. Upadam na podłogę i worek nagle znika.

Z trudem łapię powietrze, po policzkach spływają łzy, rozmazując tusz do rzęs. Udaje mi się usiąść i oprzeć o ścianę, potrzebuję chwili, by się uspokoić. Znowu mam wrażenie, że

ktoś mnie obserwuje, obracam lekko głowę i tym razem się nie mylę. Na końcu korytarza stoi bezkształtna postać i po prostu mi się przygląda.

– Odejdź – szepczę w stronę postaci. – No odejdź! – wrzeszczę na całe gardło i wpadam szloch.

Znowu w mojej głowie pojawia się dźwięk, lecz tym razem o wiele głośniejszy. Zakrywanie uszu nie pomaga, czuję ogromny ból, który rozsadza mi czaszkę. Z powrotem osuwam się na podłogę, zamykam oczy i mocniej przyciskam dłonie do uszu.

Po raz kolejny dźwięk znika tak szybko, jak się pojawił. Udaję mi się wstać i przez kilka minut szukam schodów, błakając się po korytarzu. Gdy wychodzę z piwnicy, udaję się do głównej sali wystawowej, gdzie na moment oślepia mnie jaskrawe światło. Potrzebuję kilku sekund, by oczy się przyzwyczyły.

– Artur! – wołam jak najgłośniej. – Gdzie jesteś?

Odpowiada mi cisza, co wzmacnia mój niepokój. Nie mam pojęcia, ile czasu spędziłam w piwnicy i co działo się w tym czasie z Arturem. Rozglądam się za nim, ale nigdzie go nie ma, obawiam się, że został w piwnicy, do której nie zamierzam wracać. Kilka minut później znajduję go siedzącego przy drzwiach z zawiązanym wokół szyi szalikiem. Końcówka materiału została przymocowana do klamki. Mężczyzna się dusi, podbiegam szybko i rozwiązuję chustę. Sina twarz Asnyka sugeruje, że uratowałam go w ostatnim momencie.

– Słyszysz mnie? – Potrząsam nim, Asnyk zaczyna kaszleć. Czuję ogromną ulgę, że oddycha i nic mu nie jest. – Co się stało?

Artur nie odpowiada, bo wciąż łapie oddech. Zmuszam go, by się położył. Na szczęście jego twarz nabiera normalnego koloru.

Z pomieszczenia z głównym eksponatem zaczynają wydobywać się dziwne jęki, męskie odgłosy. Upewniwszy się, że z Arturem wszystko w porządku, udaję się w tamtą stronę. Po wejściu do środka orientuję się, że mężczyzna na podeście porusza się i patrzy w moją stronę. Już nie ma nieobecnego wzroku jak poprzednio. Z moich ust wydobywa się krzyk. Orientuję się, że jego ręce nie są już podwieszone do sufitu. Widocznie był w stanie sam zerwać liny. Nagle powolnymi ruchami zaczyna odrywać rurki przepuszczające krew. Na podłogę spływa posoka. Stoję jak wryta, głos grzęźnie mi w gardle, a w głowie mam zupełną pustkę. Jestem w stanie jedynie obserwować, jak mężczyzna zrywa kolejne rurki, a następnie zsuwa się z podestu i powoli czołga w moją stronę.

– Natalia! – krzyczy Artur, jego głos wytrąca mnie z odrętwienia.

Przywieram do najbliższej ściany, umożliwiając rzeźbie przejście do głównej sali wystawowej. Mężczyzna porusza się coraz szybciej i pewniej. Orientuję się, że zmierza w stronę

Artura. Niewiele myśląc, podbiegam do podestu i chwytam oblepioną krwią linę. Podchodzę wciąż czołgającego się mężczyzny i wprawnym ruchem zawiązuję linę wokół jego szyi i szarpnię mocno do tyłu.

Ekspонат łapie moją dłoń, na której pojawiają się czarne plamy. Puszczam sznur i z przerażeniem obserwuję, jak na moich rękach pojawiają się wybroczyny, które z każdą sekundą się powiększają. Skóra mnie swędzi, więc zaczynam drapać. Robię to coraz intensywniej, maniakalnie rozdrapuję skórę do krwi, lecz mimo to nie przestaję. Jestem przerażona i czuję, jak pojawiają się nowe plamy na moim ciele.

Do tego pojawi się odór, od którego robi mi się niedobrze. Widzę, że ekspонат dusi Artura gołymi rękami, jednak nie mogę nic zrobić, nadal kompulsywnie drapię się po skórze. Światło w całej galerii zaczyna migać. Upadam na podłogę.

– Artur – mówię cicho i tracę przytomność.

Budzi mnie głos policjanta, który lekko mną potrząsa.

– Proszę pani – mówi głośno. – Wszystko w porządku? Zaraz przyjedzie pomoc.

Chcę wstać, jednak policjant powstrzymuje mnie ruchem dłoni. Jestem zdezorientowana, nie wiem, gdzie jestem i co się stało. Wszystko wraca, gdy widzę leżące metr ode mnie ciało Artura. Nie porusza się, oczy ma otwarte i wpatruje się pustym wzrokiem w odległy punkt na suficie. Rozumiem, że nie żyje. Wokół szyi nadal ma ciasno zawiązany szalik. Rozglądam się ostrożnie po pomieszczeniu. Wszędzie znajduje się pełno gapiów i policji. Jednak zastanawia mnie co innego. Mimo protestów funkcjonariusza wstaję i pobiegłam do małego pomieszczenia. Na samym środku stoi coś przykryte czarną płachtą, tak jak za pierwszym razem, gdy tam byłam. Szybko zdejmuję materiał i moim oczom ukazuje się mężczyzna usadowiony na podeście. Jego ręce trzymają podwieszane pod sufitem liny.



DUSZODLEWNIA

Marek Pieczara

– Nie powinni byli w nich grzebać. – Szorstki, chrapliwy głos przeplatał się z trzaskiem wilgotnego tytoniu. – To wbrew wszystkiemu, wbrew siłom ognia, wbrew potędze drzemiącej w płynnej stali. Za kogo oni się mają? Prometeusze zasrani myśleli, że

świat zbawia, a ja od początku wiedziałem, jak to się skończy. Mnie nikt nigdy nie słuchał, ale taki już mój los, dawno się z nim pogodziłem. Posłuszeństwa nie umiałem sobie wypracować, ot co. Dlatego całe życie spędziłem na odlewni, całe życie przerzucania koksu i wspinania się po rusztowaniach. Jakby mnie słuchali, to wyżej bym zaszedł. I może nawet nie doszłoby do tego... Do czego doszło. A ty, Michał? Chociaż ty mnie teraz słuchasz?

– Dziadek, kurwa... – zagryzłem zęby, starając się powstrzymać narastającą wściekłość. Poduszka zaciśnięta na głowie nie tłumila gderania dziadka, wszelkie prośby i groźby spływały po nim jak po kaczce, a czasami zdawały się jeszcze bardziej go nakręcać. Raz spróbowałem zamknąć drzwi do pokoju to dopiero się zaczęło. Sąsiadka była przekonana, że ktoś chce nam się włamać do mieszkania, takiego huku narobił. Odtąd wiedziałem, że trzeba go przeczekać. – Za trzy godziny zaczynam zmianę, dasz mi chociaż trochę pospać?

– Jaką zmianę? Przecież zamordowaliście już wszystkie piece.

– Naprawdę chcesz o tym znowu rozmawiać?

– Gdybym przestał o tym rozmawiać, to tak jakbym umarł. – Pomarszczone, koślawe dłonie z trudem trzymały papierosa, który cuchnął nieźnośnie. Kolejna chmura tytoniowego dymu wsiąknęła głęboko w firanki, mieszała się ze smrodem napływającym zza uchylonego okna.

Milczenie przychodziło zawsze znienacka, bez żadnej zapowiedzi. Dziadek widocznie uznawał, że na dziś wystarczy, po czym gasił papierosa w przepełnionej petami popielniczce, spluwał gęstą od tytoniu śliną za okno i wychodził jakby nigdy nic. Co sobie wtedy myślał? Że mnie przekonał? Że zdobył we mnie sprzymierzeńca? Nigdy o to nie pytałem, bo bałem się, że odwróci się na pięcie i rozpocznie swoje wywody od nowa. Wolałem wykorzystać tych kilka pozostałych godzin na zregenerowanie sił, zanim przekłety dźwięk budzika rozerwie ciszę i znów zmusi mnie do podniesienia powiek.

– Jak tam, byku? Wyspany, czy dziadunia dawał znowu popalić całą noc?

– Nawet mnie nie denerwuj. – Automatycznym ruchem odebrałem papierosa wysuniętego z podanej paczki, odpaliłem i mocno zaciągnąłem się kwaśnym dymem. Szlugi były coraz nędzniejsze, tak samo jak jedzenie i woda. Od dawna jedynym sposobem dostawy był przerzut towarów przez mur, a to niestety sprawiało, że połowa przesyłek grzęzła w błocie albo przepadała skryta przez wspinające się na betonowy wał krzaki. Bramy zaspawano, a śmigłowcom zakazano przelatywać nad dzielnicą. Bo niby za duże ryzyko dla kierowców i pilotów. Szlag by ich trafił.

– Długo tak dasz radę?

– Marcin, serio, nie teraz. A najlepiej w ogóle nie dziś. – Spojrzałem na niego zmęczonym wzrokiem, czując, że z uwagą przygląda się workom pod moimi oczami. – Już powinienesz poznawać, kiedy chętnie sobie z tobą ponarzekać, a kiedy nie mam nawet ochoty otworzyć gęby. Chociaż ty mnie nie drażnij.

– Ja nic nie mówię. – Marcin zrobił głupią minę i podniósł ręce, jakbym wycelował w niego lufę karabinu. – Tylko na twoim miejscu już dawno bym się pozbył problemu. Stary pierdziel nic tylko daje ci w kość, a pożytku z niego żadnego. Jest chociaż coś tej jego emerytury? Bo jeśli nie, to chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak to załatwić – kopa w dupę i krzyż na drogę.

– Wyrzuciłbyś własnego krewnego z domu?

– Pewnie, że nie. – Teatralnie przewrócił oczami i poprawił skórzany plecak przewieszony przez jedno ramię. – Ale jakby zobaczył, że jest taka możliwość, to zaraz by mu rura zmiękła. I dwa razy by się zastanowił, zanim znów wjechał by ci się do pokoju w środku nocy.

Nie było sensu z nim dyskutować. Gównu wie, bo z nim mieszka tylko żona i dzieci, a one boją się odezwać choćby słowem, żeby przypadkiem mu nie podpaść. Miał swoje zwyczaje, które zresztą mi też działały na nerwy. Koniec zmiany i prosto do monopola – ćwiartka do kieszeni, dwa piwa na drogę do przystanku, a już na klatce rozchodniaczek z miejscowymi lujami. Powrót męża z pracy był początkiem zmiany jego żony.

Szliśmy w milczeniu chodnikiem, na którym każdy postawiony krok niósł ze sobą zagrożenie umoczenia nogi po samo kolano – po ulewach woda zbierała się pod luźnymi płytami i wystrzeliwała w najmniej oczekiwanym momencie. Pal licha, gdyby była to zwykła deszczówka, ale odkąd zamknięto hutę, to nawet woda w kałużach stawała się niebezpieczna. Krople nasiąkały całym tym syfem z powietrza i gromadziły się na ziemi w brudnych bajorach, które swymi właściwościami pewnie niewiele odbiegały od tych powstałych przy gaszeniu pożaru w Czarnobylu. Oddychało się coraz ciężiej, zwłaszcza przy wysiłku fizycznym – codziennie słyszałem rżenie w płucach, a smarkałem jakąś rudawą substancją. Dawno przestałem jednak na to zwracać uwagę. Lepiej nie zajmować sobie tym głowy, bo wtedy kończy się jak mój dziadek.

Jechaliśmy w przepełnionym autobusie razem z ludźmi ubranymi w stare kożuchy, kaszkiety i gumofilce – pracownicy umierającej huty. Nie łudziłem się – wyglądałem dokładnie tak jak oni. Czulem lepiące się do czoła tłuste włosy, zapach własnego ciała wpływający spod flanelowej koszuli, a na zębach osad, którego mimo starań nie udało mi się

doczyścić wysłużoną szczoteczką. W zimnym powietrzu dominował zapach potu i naftaliny, jednak była to wciąż miła odmiana dla odoru roztaczającego się na zewnątrz.

Przez okno spoglądałem ze smutkiem na ciągnącą się wzdłuż drogi starą linię tramwajową, teraz zarośniętą i niemal wchłoniętą przez ziemię. Lubilem tramwaje. Miały w sobie coś typowo miejskiego, idealnie wpasowały się w tutejszy krajobraz, a regularny stukot kół na łączeniach szyn koił moje nerwy, lepiej niż wszystko inne. Musiałem mocno wyteńczyć pamięć, by przypomnieć sobie ten dźwięk. Dostawy prądu odcięto tak dawno, że nowemu pokoleniu urodzonemu w tej dzielnicy nie dane było cieszyć się widokiem jadących środkiem ulicy, błękitnych tramwajów. Tak samo jak wielu innych dobrodziejstw, do których działania wykorzystywano tę niedocenianą i kiedyś pospolitą energię.

Autobus dojechał do przystanku końcowego, a kierowca otworzył drzwi, wypuszczając szarą masę na przystanek. Ktoś nadepnął mi na stopę, ktoś szturchnął łokciem w żebra – oddałem. Odpaliłem drugiego papierosa by nie czuć smaku powietrza i oszukać płuca, ale jak zwykle mi się to nie udało – tu zapach dymu i pyłu był jeszcze silniejszy, czarne słupy ciągnęły się pionowymi smugami za budynkiem kombinatu i cięły horyzont na równe płaty szarego firmamentu. Kombinat nie był już budynkiem – stanowił element fortyfikacji odgradzającej teren huty od reszty dzielnicy. Okna wybito i uszczelniono, drzwi zabarykadowano, a dach wyrównano na tyle, by można było na nim kontynuować budowę muru. Muru, który ciągnął się wokół całego terenu krakowskiej huty falowaną wstęgą i który miał pięć się w górę tak długo, aż wszystkie jego ściany połączą się w coś na kształt stożka. Gród i podgródzie – tak najprościej dało się opisać naszą zapiżdżiałą osadę, do której niestety nie prowadziła żadna brama wjazdowa. Ale to nie problem, najazd nam nie groził. To raczej cała reszta świata żyła w obawie, że my zrobimy „wyjazd”.

Idę na plac, gdzie zbierała się już moja drużyna, a po drodze patrzę na tego komunistycznego molocha, który nareszcie miał możliwość przysłużyć się jakiemuś celowi. Kij z tym, że my sami stworzyliśmy tę konieczność, o tym nikt już nie mówi. Tak jak nie mówi się o nowych chorobach nawiedzających tutejsze rodziny, nagłych zniknięciach budowniczych muru ani o dzikich zwierzętach, które przyczajone w cieniu szarych bloków czyhały na nieostrożnych przechodniów. Nie było sensu poruszać tych tematów, bo co mogę usłyszeć w odpowiedzi? *Tak, twój dziadek dostał pomylenia zmysłów od skażonego powietrza. Tak, twojemu koledze musieliśmy amputować nogę, bo pies, który go ugryzł, miał w ślinie toksynę wyżerającą mięso. Nie, nie możesz dziś zostać na dole, bo wczoraj w stronę majstra poleciała gęstsza chmura dymu, przez co stracił równowagę i spadł na ziemię. A że*

spadł z siłą twarzą i oczami wywalonymi na wierzch? To my już nie wiemy dlaczego. Serio?
To ja już kurwa wolę nie pytać.

– Witam w kolejnym, pięknym tygodniu! Jak zwykle miło widzieć wasze zaspane mordy, aż serce się raduje i w duszy coś śpiewa! – Wąsaty mężczyzna przemawiał do zgromadzonych pracowników głosem tubalnym i niskim, z łatwością przebijającym się przez wszechobecny harmider. – Dziś znów jest nas mniej, Jabłoński i Romaniuk nie dotarli na zbiórkę.

– Ktoś wie, co się z nimi stało? – Marcin wszedł majstrowi w słowo bez zastanowienia, jednak ten nie wydawał się mieć pretensji; jego też ciekawiło, czy ktoś zna przyczynę nieobecności kolejnych dwóch z jego pracowników. Braki w personelu zaczynały być dotkliwe, pozostali na placu budowy „wierni” pracownicy ledwie dawali sobie radę z dodatkowymi obowiązkami, których stale przybywało, ale które wypełniali sumiennie, bez szemrania. Bunt i strajki dawno się skończyły – ludzie pojęli, że w tym bagnie nie są sami. Tylko łącząc siły, mogli choćby marzyć o tym, że kiedyś się z niego wydostaną.

– Mi się wydaje, że widziałem Jabłońskiego dziś rano, kiedy jechałem do pracy. – Jeden z mężczyzn odezwał się drżącym głosem.

– Co to znaczy „wydaje mi się”? Jechał z tobą w autobusie?

– Nie, w autobusie już go nie było. Tylko po drodze na przystanek zawsze mijam taką starą wiatę, gdzie kiedyś trzymali kontenery ze śmieciami. Ciemno było jeszcze, ale widziałem tam kogoś, kto wyglądał właśnie jak Jabłoński. Wysoki, łysy, mocno zgarbiony... Do złudzenia podobny.

– I co? Nie podeszliście do niego?

– Nie. Bałem się. – W głosie mężczyzny nie było krzty wstydu. Beznamiętny ton składał raport, nie okazywał emocji.

– Co ty bredzisz, Miszczak! Czego się bałeś? Że cię ugryzie?

Miszczak nie odpowiedział, jedynie spuścił wzrok i wzruszył ramionami. Wąsaty patrzył na niego stanowczym wzrokiem, jednak bał się, że przestraszony mężczyzna odpowie. Wolał, by nie odezwał się już ani słowem. Wszyscy zgromadzeni woleli.

– Mniejsza z tym, nie będziemy na nich dłużej czekać. Zakładamy maski, narzędzia w łapy i bierzemy się do roboty. Przerwy co godzinę, zmiany na stanowiskach co piętnaście minut i głębokość wdechu na poziomie pięćdziesięciu procent. Dziś mamy ładny dzień, w nocy przyszedł halny, więc możecie się zaciągnąć głębiej.

– Michał, bo ty tam przecież byłeś wtedy, widziałeś to na własne oczy... Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było dokładnie. Opowiedz mi, jak okaleczyli moje kochane piece.

– Dziadek, już z tysiąc razy ci opowiadałem. Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Myślisz, że ja rozumiem, co się tam stało? Nie jestem naukowcem, ty też nie. Gównem z tego będziesz wiedział.

– Jestem inżynierem metalurgiem, rocznik 1964 AGH, specjalizacja...

– Ja też jestem metalurgiem. I co z tego? Energetyka jądrowa nie wchodziła w zakres mojego planu zajęć. Twojego chyba też nie, myślę się?

Dziadek milczał. Chuda, przełożona przez kolano noga podrygiwała miarowo w tylko jemu słyszonym rytmie. Nienawidziłem tego dziwnego tikku; denerwował mnie i nie pozwalał się na niczym skupić. Apatycznym ruchem dłoni mieszałem rzadką, zimną jajecznicę i starałem się ignorować dziadka, który, nawet kiedy chwilowo nic nie mówił, to działał mi na nerwy, jak komar latający nad uchem w środku nocy. Żeliwny piec postawiony pod ścianą trząsał radośnie, pluł iskrami z wilgotnego drewna i rozlewał nieśmiało pomarańczową poświatę na poprzypalanym parkiecie.

– Jak oni to nazwali? Powiedz mi jeszcze raz.

– Ogrzewanie przy pomocy kontrolowanej reakcji termojądrowej.

– Mój Boże... – Dziadek przeżegnał się pospiesznie, jakby stanął oko w oko z samym diabłem.

– Sam pomysł nie był zły. – Z udawaną ciekawością przyglądałem się nabitemu na widelec kawałkowi suszonego boczku. – Dostawy węgla były coraz mniej regularne, prąd z dnia na dzień droższy... Wydawało się, że energia jądrowa jest idealnym zamiennikiem, czystym, tanim i niezawodnym. Piece dało się przerobić, te małe reaktory zabierały znacznie mniej miejsca niż hałdy węgla, więc dlaczego nie? Elektrownie działały na tej zasadzie od lat na całym świecie, dlaczego nie można by tego zastosować w hutnictwie?

– Co ty wygadujesz... – Dziadek jedną ręką złapał zmarszczone czoło, a drugą opuścił gwałtownie, jakby uleciało z niej wszelkie życie. – Pomysł nie był zły? Czy ty masz w ogóle pojęcie, co działo się w hucie, kiedy jeszcze działała tak, jak działać powinna? Czy dla ciebie piec hutniczy to tylko wielka skrzynia, do której wchodzi surówka a wychodzi płynna stal? Jak możesz, będąc świadkiem takiego cudu, w ogóle przypuszczać, że w pełni go rozumiesz!

– Trzy lata inżynierki, dwa magistra, to daje mi pewne podstawy. A poza tym całe dzieciństwo spędzone z tobą i ojcem na robocie. Znam hutę od momentu, kiedy nauczyłem się chodzić.

– I nadal niczego się nie nauczyłeś. – Smutek i dym papierosowy spowijały postać dziadka; jego głos był coraz słabszy, coraz bardziej pozbawiony nadziei. – Pozwoliłeś im wpuścić to promieniotwórcze świństwo pod stalowe korpusy, otulić całą konstrukcję radioaktywnym płaszczem. Powiedz mi coś, Michał. – Pełne nienawiści, zmęczone oczy starca wbiły się w moją twarz, aż jedzenie stanęło mi w gardle. – Jak możesz po czymś takim spać w nocy?

– Nie śpię w nocy, zapomniałeś? Twoje gderanie skutecznie mi to uniemożliwia.

– Nie odwracaj kota ogonem. Chcę wiedzieć, jakie to uczucie, przyłożyć rękę do tej potwornej klęski.

– Energia to energia. Nikt nie mógł przewidzieć, że wszystko szlag trafi.

– ENERGIA TO ENERGIA? – Dziadek zerwał się ze stołka i rzucił kubkiem o ścianę. – Twoim zdaniem siła naszych mięśni, upór i walka o przetrwanie to to samo, co te przeklęte reaktory? A gdzie dusza przelana w każdy ruch łopata? Gdzie litry potu i łez wyciskane przez gęsty dym, który z jednej strony odbierał chęć do życia, a z drugiej nadawał mu takiego sensu, jak nic innego na świecie?

– Dziadek, ostrzegam cię, znowu zaczynasz... – Teraz trzeba ostrożnie. Nie chcę następnej awantury, a już widzę w jego oczach znajomy błysk szaleństwa. – Jak ci coś nie pasuje, to wynoś się stąd do tych swoich kochanych pieców. Im się wyżał, może cię wysłuchają.

– Ja się im nie żalę. To one żalą się mi.

Oho, ładnie. Tego jeszcze nie słyszałem” Dziadek zamarł w bezruchu, ciężko dysząc, a pomarańczowy blask paleniska sprawił, że wyglądał na trochę większego, niż był w rzeczywistości. Nie szkodzi, i tak dam sobie radę, jeśli się na mnie rzuci.

– Michał, musisz zrozumieć – wzrok miał wbity w pustkę, nie patrzył na mnie. Co zatem widział? – Więż hutnika z piecem jest czymś więcej niż odwaleniem szychty. – Ton złagodniał, a pozbawiony wyrazu wzrok zatrzymał się na ziemi obok moich stóp. – Gorąc wnika w ciebie jak w stal, zmienia twoje ciało i duszę, naprawia to, co było zepsute. A później, gdy opuszczasz hutę i zostawiasz ją za sobą, temperatura spada, a twój duch się hartuje – zmiany się utrwalają, stajesz się twardy. Michał... My oddajemy piecom swoją duszę, ale ona jest nam zwracana. Lepsza, szlachetniejsza, zdolna więcej wytrzymać.

– Skoro tak, to co się z tobą, do cholery, stało? Od lat nic, tylko użalas się nad sobą i masz pretensje do całego świata. Co? Pokaż jaki twardy jesteś!

– Bo mnie... Mnie za szybko z huty wyrwano. – Jarzące się srebrem oczy zaszyły łzami, a głos zadrżał. – Zahartowali mnie, ale nie odpuścili. Dlatego stałem się kruchy.

Dlatego rozbilem się na tysiące drobnych kawałków i już nigdy nie uda mi się znów pozbierać siebie do kupy.

Zapadła cisza. Dziwne. Po raz pierwszy od dawna czułem, że wszystko zostało powiedziane i bardzo bym się zdziwił, gdyby dziadek odezwał się teraz choćby słowem. To nie było już potrzebne. Zaczynałem go rozumieć.

Wyszedł, jak zwykle nagle, zostawiając dogasającego papierosa w popielniczce i resztki rozbitego kubka na ziemi. Patrzyłem na drobiny tej namiastki porcelany, na małe kawałeczki i większe fragmenty, które kiedyś stanowiły całość. Postanowiłem, że nie będę tego sprzątał. Czułem, że dopuściłbym się świętokradztwa.

Już od rana ten dzień zapowiadał się jakoś... Inaczej. Coś wisiało w powietrzu – coś poza gęstą zawiesiną z dymu i pyłu, coś zdecydowanie bardziej niepokojącego, zapowiadającego nadchodzące zmiany. Zaczęło się od spóźnienia na autobus. Nie wiem, dlaczego tym razem budzik mnie nie obudził, nie wiem, jak długo dziadek męczył mnie poprzedniej nocy swoją gadaniną, ale w efekcie nie udało mi się zebrać z łóżka na czas. Uznałem, że dość tego dobrego. Trzeba będzie wyjaśnić tę sprawę z dziadkiem raz na zawsze.

Kiedy dotarłem pod kombinat było już ponad pół godziny po zbiórce, a mleczna poświata rzucana przez zasnuć dymem słońce zdążyła osiągnąć pełnię siły; było niemal jasno. Już po opuszczeniu autobusu uderzył mnie nienaturalny spokój panujący przy murze. Było cicho – stanowczo za cicho. Uczucie pośpiechu opuściło mnie nagle, jakbym podświadomie wiedział, że dzisiejszego dnia w ogóle nie musiałem przychodzić do pracy. Odpaliłem papierosa i ruszyłem wzdłuż betonowego wału. Delektowałem się wszechobecnym spokojem, choć dobrze wiedziałem, że nie wróży to niczego dobrego.

Minąłem budynek kombinatu szczerzący się zębami umocnień i barykad, po czym sięgnąłem wzrokiem dalej, wzdłuż bezkresnej, szarej wstęgi. Wciąż ani żywej duszy. Coś się musiało stać, coś bardzo poważnego. Jakiś wypadek, awaria? Dlaczego nie informowali o tym z ulic? Taka sytuacja powinna być nagłośniona, auta z megafonami krążyłyby od rana po całej dzielnicy. Dlaczego nic nie słyszałem? Może tu jest niebezpiecznie? Uczucie niepokoju ścisnęło mi wszystkie wnętrzości, a krew odpłynęła z twarzy. *Nie zostanę tu ani chwili dłużej.* Rzuciłem kiepem w mur, spalony tytoń zostawił czarny ślad, który zapewne zmyje najbliższa ulewa.

Nie chciałem czekać na następny autobus. Coś wewnątrz mnie kazało iść do domu pieszo, mimo iż taki spacer trwał około godziny i groził spotkaniem dziwnych stworzeń, nie

zawsze przyjaźnie nastawionych. To nie miało jednak żadnego znaczenia. Nogi poniosły mnie pewnym krokiem wzdłuż dawnej linii tramwajowej, w dół ku Placowi Centralnemu. Na szarych ścianach okolicznych bloków nie było widać śladów zanieczyszczeń, dopiero w nowszej części dzielnicy dało się dostrzec czarny nalot na kolorowych elewacjach, tłusty i obrzydliwy, niby toksyczny szlam wżerający się w ściany tych marnych, ludzkich schronień. Chwilami miałem wrażenie, że czuję ciepło słońca na plecach, choć biorąc pod uwagę grubość dzielącej mnie od niego czapy zanieczyszczeń było to mało prawdopodobne. Mogłem teraz bez pośpiechu przyjrzeć się okolicy dokładniej i zdałem sobie sprawę, że niewiele się zmieniło od czasów, kiedy regularnie kroczyłem tą drogą, wracając ze stojącej nieopodal szkoły technicznej. Jej budynek wciąż stał w całości, teraz nawet miałem go w zasięgu wzroku, jednak od lat był pusty. Nie potrzeba było już wykształconych ludzi, a jedynie silnych.

Przez całą drogę nie spotkałem ani jednej osoby, choć stale prześladowało mnie dziwne uczucie, że jestem obserwowany. W cieniu rzucanym przez szare bloki dostrzegałem ruch, od pustych skwerków i podwórek dobiegały dźwięki, których nie potrafiłem rozpoznać. Coś jak dyszenie, szuranie, jęk... Szedłem z duszą na ramieniu, choć nie wiedziałem, czego miałbym się obawiać. Przyspieszyłem kroku, a na moim czole spierlił się zimny pot. Pojedyncza klatka schodowa mojego wieżowca była już widoczna.

– Dziadek? – zawołałem, gdy tylko zamknęły się za mną drzwi. Dlaczego było to pierwsze, o czym pomyślałem? Przecież dopiero co układałem w głowie plan, jak się pozbyć tego starego natręta, tego wrzodu utrudniającego mi życie od lat. Teraz jednak instynkt przygnał mnie prosto do niego, jakby w nim tkwiło rozwiązanie tajemnicy opustoszałej dzielnicy.

– Dziadek?

Odpowiedziało mi milczenie i mocny podmuch wiatru, który ustał wraz z trzaskiem drzwi wejściowych. Przeciąg. To znaczy, że gdzieś było otwarte okno. *Czy ten stary głupiec do reszty zwariował? Chce nas potruć?* Rzuciłem się do swojego pokoju, w myślach gorączkowo szacując, ile trującego dymu mogło dostać się do mieszkania wraz z tak mocnym podmuchem.

Znalazłem dziadka w jego pokoju. Okno było otwarte na oścież, pożółkłe firanki falowały łagodnie na wietrze. Siedział na parapecie z nogami przerzuconymi za jego zewnętrzną krawędź; ręce zaparte były po bokach, a głowa wyciągnięta daleko poza ścianę zewnętrzną budynku, jakby chciał dojrzeć coś w oddali. Nie zauważył, że wszedłem.

– Dziadek! – wrzasnałem bezmyślnie, łajając się zaraz w myślach, że przestraszony może spaść. – Co ty wyprawiasz? Dziadek, jak Boga kocham, wracaj tu, nie rób głupstw...

– Akurat chcesz, żebym wrócił. – Dziadek parsknął kpiąco. – Dobrze wiem, że tylko czekasz, aż wyciągnę kopyta, a pewnie i sam myślisz już nad tym, jak mi w tym pomóc.

– Nie wiem, coś sobie znowu uroił, ale mylisz się. Wracaj do środka, usiądziemy i pogadamy. – Głos mi drżał, nie byłem w stanie ułożyć go w jedną tonację. Łzy popłynęły po moich policzkach na widok człowieka, którego znałem od dziecka, a który teraz był o krok od odebrania sobie życia. *To twoja wina*. Ciężki głos przepełniony wyrzutem rozbrzmiał mi w głowie niczym kościelny dzwon. – Dziadek, coś dziwnego się dzieje, muszę ci wszystko opowiedzieć. To ma jakiś związek z kombinatem i ty na pewno wiesz jaki. Proszę cię, wróć tu i porozmawiaj ze mną.

– Teraz nagle chcesz mnie słuchać? To coś nowego.

– Dziadek, błagam cię, jeszcze nie jest za późno, jeszcze wszystko da się naprawić. Pozwól mi wytłumaczyć...

– Nieprawda. Już jest za późno. – Wskazał ręką w dół i mimo iż widziałem tylko jego plecy i tył głowy, to rozpoznałem kierunek. Szeroka dwupasmówka dojeżdżająca do samego Placu Centralnego. – Idą. Zaraz się zaczniesz.

Co on tam do diabła widzi? Ostrożnym krokiem podszedłem do okna, starając się nie wydawać najmniejszego dźwięku w obawie przed reakcją dziadka. Z zewnątrz dochodził jednak coraz głośniejszy szum, który z łatwością zagłuszyłby nawet najgłośniejsze skrzypienie podłogi. Wyciągnąłem szyję nad ramieniem pachnącym tytoniowym dymem, nie zważając na unoszące się na tym poziomie pyły i dym. Spojrzałem w dół i zamarłem z opuszczoną szczęką.

Całą szerokością dwupasmówki maszerowało morze ludzi; w środku tłumu zbitych tak mocno, że ciężko odróżnić poszczególne sylwetki, zaś na krawędziach rozlewających się niczym macki meduzy. Wszyscy szli w jednym kierunku, powoli lecz stanowczo, jak lądolód pożerający ziemię kawałek po kawałku. Nie dało się słyszeć głosów rozmów czy skandowania haseł strajkowych, a jedynie miarowy, jednostajny szum wydobywający się z setek gardeł. Nigdzie nie było widać transparentów lub banerów, nic co wskazywałoby na określony cel tego zgromadzenia. Tylko stanowczy, solidarny krok wzdłuż drogi. Drogi, która prowadziła prosto do zaspawanej na głucho bramy wjazdowej dzielnicy Nowa Huta.

– Co się dzieje, dziadku? Kim są ci wszyscy ludzie?

– Ha, nie poznajesz? Przecież to twoi zaginieni przyjaciele!

Kiedy tłum przechodził pod naszymi oknami, mogłem przyjrzeć się bliżej. Zacząłem wyłapywać pośród ludzkiej masy znajome z pracy sylwetki, jednak musiałem się im dobrze przyjrzeć, by rozpoznać byłych współpracowników. Miszczuk, Dobrzyński, Baran... Wszyscy tam byli. Wszyscy szli wraz z falą ludzi, powłócząc nogami i kiwając się dziwnie na boki. Było w tym ruchu coś, co kojarzyłem. Tak samo poruszały się postacie, które migwały mi na moment w ciemnych zaułkach podczas mojej wędrówki do domu. Jedna z twarzy uniosła się do góry i mogłem spojrzeć jej w oczy. Niemal zadławiłem się powietrzem, kiedy wyprany z duszy wzrok pozbawionych źrenic oczu przeleciał po mnie i pognął dalej, w losowym kierunku. Spojrzałem przerażonym wzrokiem na dziadka. Uśmiechał się złowieszczo.

– Długo wyobrażałem sobie ten dzień, długo na niego czekałem... Co oni sobie myśleli, że zamkną nas tu jak szczury, a my będziemy pokornie odwalać za nich czarną robotę? Huta na to nie pozwoli, huta o nas dba.

– Dziadku, co to ma wszystko znaczyć?

– Zemsta chłopcze, ot co. Za ingerencję w nasze piece, za odcięcie nas od świata... Za zniewagę tradycji.

– Ale co się tym ludziom stało? Dlaczego wyglądają tak... potwornie?

– Tego nie wiem, bo jak sam mówiłeś; my na studiach nie mieliśmy zajęć z reaktorów – spojrzał na mnie rozbawionym wzrokiem. Po raz pierwszy dostrzegłem w jego oczach ogień i zdecydowanie. Codzienna melancholia zniknęła bez śladu. – Wiedziałem jednak, że huta się wybroni. Nasza dusza po raz kolejny została nam zwrócona, jeszcze silniejsza niż wcześniej, jeszcze bardziej zdeterminowana, by walczyć o to, co nasze.

– Dusza? Dziadku, w ich oczach nie ma duszy... To jakiś koszmar!

Zbył mnie jedynie krótkim prychnięciem, nie odrywając wzroku od potężnej, obłożonej stalą bramy wjazdowej. Pierwsze sylwetki już się na nią wspinały, tłum wyglądał jak mrowisko – idealnie zorganizowane, zdeterminowane i zmierzające do celu. Zawiasy zajęczały, pojedyncze kawałki złomu zaczęły odpadać jak jesienne liście z drzew. Byli już blisko, zaraz przedostaną się na drugą stronę. Przeleją się, jak stal wypełniająca formę odlewniczą – wszystko na ich drodze zostanie zniszczone.

– Uda im się. Nie miałem wątpliwości, ale chciałem to zobaczyć. Teraz wszystko się zmieni. – Znów na mnie spojrzał. Po policzku spłynęła mu łza, zostawiając po sobie bruzdę w kurzu pokrywającym pomarszczoną twarz. – Pamiętaj, by tym razem stanąć po właściwej stronie.

Skoczył, nim zdążyłem zorientować się, że było to pożegnanie.



IN MEMORIAM: ADAM RUTKOWSKI

Mikołaj Kołyszko

To że na łamach *Histerii* zamiast opowiadania pojawia się wspomnienie zmarłego pisarza, z pewnością może wydać Wam się niezwykle, ale poprosiłem redaktora naczelnego o zrobienie dla mnie wyjątku i możliwość nakreślenia paru słów o wspomnianym w tytule niezwyklejącym człowieku z dwóch ważkich powodów.

Po pierwsze, Adam Rutkowski był niedocenionym geniuszem horroru, którego twórczość wydawana pokątnie w latach 90. XX wieku w podłych zinach potrafiła jednocześnie wzruszyć, zdumieć, jak i dogłębnie przerazić, a który nigdy (trochę na swoje życzenie) nie wszedł do

mainstreamu i którego dzieła nigdy nie zagościły w księgarniach. Oczywiście takich zinowych literackich geniuszy było w owym okresie więcej – dość powiedzieć, że na innych polach literatury mieliśmy więcej podobnie niezwykłych postaci, niemniej większość z nich doczekała się przynajmniej jednej edycji książkowej (jak np. krakowski hipis Wojciech Michalewski, którego *Mistycy i narkomani* przeszli do polskiej klasyki literatury kontrkulturowej, czy Jarosław Klofta, którego interaktywny lovecraftowski horror *Sąsiedzi Lonesbury* dopiero po jego śmierci doczekał się bardziej profesjonalnego, choć dalej niszowego, wydania e-bookowego).

Po drugie, jego ostatnie, zdecydowanie największe, dzieło nie było literackie, a przybrało charakter skrajnie oryginalnej, ale i dogłębnie chorej i nader upiornej artystycznej aranżacji... A tak mówiąc krócej i po ludzku: to, co się odbyło na jego pogrzebie po prostu przechodzi ludzkie pojęcie.

Twórczość Adama poznałem jako nastolatek, który na początku XXI wieku zbierał wszelkie możliwe ziny z pomorskiego punkowego i metalowego undergroundu. W tej drugiej grupie nie było chyba powielonego na ksero i zespolonego zszywaczem periodyku, w którym by Rutkowski choć raz nie zagościł i nie załśnił swoim geniuszem. Nie wiem, czy istnieje jakikolwiek człowiek chodzący po tej ziemi, który nie wzdrygnął się ani razu, czytając jego opowiadania *Strzyga*, *Łzy goryczy* czy *Wielbiciela martwych dzieci*. Kiedy dowiedziałem się, że Adam jest mieszkańcem moich rodzinnych Chojmic, byłem zachwycony i stwierdziłem, że zrobię wszystko, by go poznać. To nieduża miejscowość i nawet przed erą Facebooka nietrudno było tu dotrzeć do każdego, w jakikolwiek sposób wyróżniającego się, mieszkańca – jeśli nawet się kogoś nie znało, to łatwo było rozkminić, kto może znać poszukiwaną osobę i jeśli nawet ten człowiek kogoś nie znał, to już na sto procent znał kogoś, kto go znał.

I tak w końcu, dzięki krótkiemu łańcuchowi znajomości, miałem okazję spotkać Adama w chojnickim Parku Tysiąclecia. Dziś to ładnie odrestaurowany teren rekreacyjny, ale w czasach mojej młodości był to obszar zdecydowanie bardziej dziki, gdzie okoliczna młodzież razem z rasowymi alkoholikami szła walić jabole i palić konopne skręty, gdzie skini napieprzali się z punkami i metalami, a że ci drudzy i trzeci częściej bywali pod wpływem, to i częściej zbierali wpierdół.

Adam na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się zasadniczo od bywalców tego miejsca – nosił długie, czarne włosy, jeansową katanę, która lekko kontrastowała z jego zawsze czarnymi spodniami. Z uwagi na to, jak wyglądał, gdy go pierwszy raz zobaczyłem, domyśliłem się, że tego popołudnia chlał już najpewniej nie pierwsze wino. Zarówno on, jak i jego punkowi znajomi (których znałem z koncertów w położonym przy średniowieczny murach miejskich pubie *Cooltura*) nie mieli nic przeciwko, żebym do nich dołączył – tym bardziej, że miałem ze sobą alkohol (choć będąc szczerym, kupiłem go na domówkę do znajomych – jak nietrudno się domyśleć, nie dotarł na

nią). Rutkowski miał wówczas dwadzieścia jeden lat, był absolwentem starego LO, ale zdecydował się nie iść na studia, ponieważ, jak twierdził, udało mu się załapać pracę w kiosku stojącym przy ulicy 31 stycznia. Powiedział mi wówczas, że od życia nie potrzebuje niczego więcej niż wina z kolegami, komputera, na którym może produkować kolejne opowiadania i „magicznych tabletek” na dobry i twórczy sen – a praca, jaką ma, zapewnia mu to minimum. Nasza pierwsza rozmowa szybko się zakończyła, bo Adam nagle zezgonował, co nader rozbawiło towarzystwa. Dyzio, Kikut i Kmieciu – bo takimi ksywami przedstawiali się nasi znajomi (choć wyteżam pamięć jak mogę, nie jestem w stanie przypomnieć sobie ich prawdziwych imion) – powiedzieli, że mam się nim nie przejmować, on tak zawsze i jeśli się nie obudzi, dopóki nie skończą pić, to go zanoszą do domu.

I rzeczywiście, Adam, miał w zwyczaju dokładnie taki styl imprezowania. Jeszcze kilka razy spotykaliśmy się w tej parkowej rzeczywistości i tak naprawdę niewiele więcej się o nim dowiedziałem (a przynajmniej niedużo już dziś pamiętam). Przypominam sobie, jak mówił, że woli towarzystwo punków niż metali, bo według jego słów, w tej drugiej kategorii zdarzały się częściej „niedojeby”, które dla zabawy zabijały zwierzęta. Jako, że znałem też wiele osób z tego lubiącego cięższe brzmienie środowiska, to nie mogę potwierdzić rewelacji Adama – no ale być może on miał inne doświadczenia.

Pomimo umiłowania grozy i makabry, był on bardzo wrażliwy na krzywdę zwierząt. Jak zwierzył mi się kiedyś, gdy był „gówniakiem” chodzącym do podstawówki, ojciec wysyłał go na wakacje do dziadka, który hodował kury i gołębie. Dziadek wymagał, by to on zajmował się drobiem, w efekcie czego Adam złapał z nimi tak dobry kontakt, że nazywał je swoimi przyjaciółmi i nawet nauczył różnych sztuczek. Oczywiście, jak to bywa w wiejskiej rzeczywistości, kolejnymi czynnościami, do których po odpowiednim czasie dziadek zmuszał swojego wnuka, było zabijanie tego ptactwa, oprawianie go, przyrządzanie i spożywanie przy rodzinnym stole. Adam ze łzami w oczach wspominał o tym, jak nieumiejętnie zabił starego koguta, w wyniku czego głowa zwierzęcia wisiała bezwładnie u jego szyi, jakby była złamana, a ptak biegał z nią po całym podwórku ku wielkiemu rozbawieniu dziadka i wielkiemu przerażeniu młodego Rutkowskiego. Dlatego krótko po tym, jak poszedł do starego LO, i najwidoczniej wszedł w fazę buntu, powiedział rodzicom, że więcej do „tego starego niedojeba” nie pojedzie i, ku największemu przerażeniu swoich rodziców, przeszedł na wegetarianizm.

Oczywiście straciłem kontakt z Adamem, gdy tylko poszedłem na studia. Z nim, jak i z wieloma moimi znajomymi. W ferworze zmian w moim rodzinnym domu, które zaistniały po tym, jak moi rodzice mogli się w końcu ode mnie uwolnić, zaginęły zarówno moje płyty z muzyką takich lokalnych kapel, jak Qrtyna, Kokon czy Lobotomia, jak i ziny z opowiadaniem Rutkowskiego. Od dwóch lat próbuję namierzyć kogoś, kto mógłby je wystawić na sprzedaż na Allegro, Świstaku, Ebayu, OLX-ie lub Gumtree, ale bezskutecznie.

Adam zmarł na przełomie ósmego i dziewiątego listopada poprzedniego roku. Nie miał dzieci, ale pozostawił na tym padole łez swoją żonę – prześliczną i drobną Agnieszkę. Pogrzeb zaplanowany był na jedenastego listopada i ponieważ i tak zjechałem na ten czas do rodziców, postanowiłem w nim uczestniczyć i pożegnać starego, genialnego kolegę. Znajomi powiedzieli mi, że Adam przedawkował swoje „magiczne tabletki”, które były po prostu barbituranami kupowanymi na umiejętnie wyłudzone przez niego recepty.

Ceremonia odbyła się bez księdza, o co walczyła dzielnie z jego rodziną zrozpaczona Agnieszka. Starzy Rutkowskiego robili różne fortele, by doprowadzić pod trumnę jednego z lokalnych kapłanów (nie podam jego nazwiska, ale powiem, że patrząc na to, co wyprawia na Twitterze ku uciechu połowy Polski śmiejącej się z wariata, nie ma on najlepszej reputacji). Agnieszka w towarzystwie swoich kolegów, i raz w asyście policji, wypraszała niechcianego gościa, pokazując testament Adama, w którym jej mąż wyraźnie napisał: *Nie życzę sobie nad moją trumną żadnego klechy, bo z uwagi na to, że w kościele rzymskokatolickim od co najmniej dekad systemowo kryje się pedofilia i innych zbrodniarzy, nie mam pewności, czy swoim kropidłem nie splugawi moich szczątków najgorszy z możliwych do wyobrażenia czarnych zwyrodnialców.*

Rodzice oczywiście mieli w dupie taki testament, ale Agnieszka nie dawała za wygraną i na zmianę ze swoimi znajomymi dwa dni pełniła wartę przy szczątkach męża. Kiedy doszło w końcu do imby z policją (a było to, gdy wraz z rodzicami ksiądz wszedł na pewniaka do zakładu pogrzebowego i gdy ten sam duchowny po chwili wezwał funkcjonariuszy, bo poczuł się urażony, że ktoś „świętą osobę” i „następcę Chrystusa” popycha i uniemożliwia sprawowanie „kultu religijnego”), to przy krótkiej i natychmiastowej konfrontacji stron ojciec stwierdził, że testament pokazywany przez Agnieszkę jest nieważny, bo nie ma podpisu notarialnego.

Na jego nieszczęście policja stanęła po stronie żony denata i kazała odejść księdzu pod karą grzywny lub tymczasowego aresztu. Kapłan, mocno urażony i zapowiadający interwencję u burmistrza (którego nieraz potępiał z ambony za uruchomienie samorządowego programu in vitro XD), odpuścił. Ale to jeszcze nie koniec tej historii, bo okazało się, że ojciec Adama na miejscu zażądał od księdza zwrotu, uwaga, trzech tysięcy złotych (a nie była to majętna rodzina i ponoć złotówki nie dołożyła do pogrzebu) za poświęcenie zwłok. Duchowny jednak odmówił, twierdząc, że zrobił, co mógł, a cytuję: *kto daje i zabiera, ten się w piekle poniewiera*. Matka Adama wykrzyczała wówczas w stronę Agnieszki, że będzie musiała im te pieniądze oddać i dopiero po zrobieniu tej żenującej sceny, kłopotliwe towarzystwo opuściło lokalny zakład pogrzebowy.

Przybyłem na pogrzeb punktualnie. Byli tu ludzie, których znałem lata temu, ale ciężko było mi nawiązać z kimkolwiek dłuższą rozmowę – z jednej strony dlatego, że poza wypytaniem się o ostatnie dni Adama nie mieliśmy wiele wspólnych tematów, z drugiej zaś dlatego, że atmosfera była naprawdę ciężka. Pewnie dzięki temu mogłem wszystko dokładnie i w skupieniu obserwować

i pewnie przez to wychwyciłem, jak Agnieszka szeptem pytała naszą przyjaciółkę Olę (przybyłej na ceremonię prosto ze Szkocji), czy mogłaby ją czasem odwiedzać, gdy „trafi za kraty”. Zmroziło mnie. Agnieszka jest drobna i wygląda na chodzącą łagodność, ale mimo to, zacząłem się zastanawiać, czy nie miała ona czegoś wspólnego ze śmiercią swojego męża. Idąc za trumną, dowiedziałem się również od znajomych, że poza Agnieszką i, zapewne, pracownikami zakładu pogrzebowego oraz lekarza stwierdzającego zgon, nikt nie widział ciała Adama. W mojej głowie zaczęło się rodzić pytanie: czy mogło być tak, że Agnieszce ZALEŻAŁO na tym, by nikt nie oglądał zwłok i nie dopatrzył się na nich czegoś, co mogłoby nakierować na nią podejrzenia?

Te ponury myśli towarzyszyły mi aż do momentu, gdy ciało złożono do grobu i z głośników puszczono Boba Dylana śpiewającego *Knockin' On Heaven's Door*. Jestem pewien, że Adam wolałby *Journey to the End of the Earth* albo co najmniej *Highway to Hell* AC/DC. Zagadałem o to po cichu do stojącego nieopodal mnie Kikuta i on przyznał mi rację, dodając, że razem z Agnieszką wybierali piosenkę, która zarówno mogłaby się Adamowi spodobać, ale nie wywołałyby kolejnej imby z rodzicami naszego zmarłego kolegi. O mały włos nie popełnili największego z możliwych błędów, bo niemal wybrali *Stairway to Heaven* Led Zeppelinów, ale w ostatniej chwili Kikut przypomniał sobie, że szury (do których z pewnością można zaliczyć rodziców naszego kolegi) mogliby sobie przypomnieć, że puszczając tę piosenkę od tyłu, da się foliarskim uchem wyłapać słowa „six, six, six” i „sweet satan”. Sądząc po łzach i ciszy nad grobem młodego Rutkowskiego, z pomocą Boba Dylana udało się osiągnąć odpowiedni efekt – chwila była pełna wzruszeń i szczyrych łez, przez co nie zanosilo się na żadne awantury.

Po pogrzebie Agnieszka łamiącym się głosem zaprosiła wszystkich obecnych na stypę do niedużej restauracji położonej bliżej centrum miasta. Przeszliśmy więc wszyscy do aut, ja zabrałem kilka osób, które nie miały własnego transportu i po kilku minutach dojechaliśmy na miejsce.

Jak się okazało, oprócz piosenki nad grobem ustępstw i ukłonów w stronę rodziny Adama było więcej, bo mimo faktu, że był on do samej swej śmierci wegetarianinem, to dania na stypę można było wybrać zarówno w formie mięsnej, jak i bezmięsnej. Co więcej, tak jak dań wegetariańskich było bardzo wiele do wyboru (indyjskie samosy, chutney, kofty, wegańskie sushi, wege ramen, wege udon, gołąbki wege, do popijania kombucha, mnóstwo surówek i sałatek), tak też i mięsnych potraw była prawdziwa obfitość (schabowe, flaczki, specjalnie przyrządzone cynaderki, wątróbka, mózdzek, wieprzowa golonka, ponoć perfekcyjnie skruszałe policzki wołowe itp.). Podobnie jak Adam, z zasady nie jadam mięsa, czasem skuszę się co najwyżej na rybę lub owoce morza (głównie z powodu obawy, że mojemu schorowanemu kręgosłupowi może brakować jakichś mikroelementów), których w menu nie było, naturalnie więc wybrałem dania wege.

Ten kulinarny ukłon Agnieszki w stronę rodziny Adama uznałem za bardzo dobry ruch. Widać było, że w końcu przestali na nią źle patrzeć, zaczęli ją zagadywać, ciotka Rutkowskiego nawet ją mocno przytuliła, w efekcie czego obie zalały się łzami.

Atmosfera zrobiła się luźniejsza i dzięki niej mogłem w końcu usłyszeć mówione półszepem słowa o nałogu Adama i o tym, że wielu wiedziało, jak on skończy. Wśród moich znajomych, którzy zostali w Chojmicach, większość dziwiła się, że był w stanie dożyć swoich czterdziestu jeden lat, będąc tak często na głębokim haju.

Kiedy ludzie się najedli, powspominali, niektórzy też mocno napili, Agnieszka wstała i powiedziała, że ma coś ważnego do przekazania.

Wydarzenie, które za chwilę Wam opowiem, było dla mnie na tyle mocne, że wydaje mi się, że od tego momentu pamiętam każde wypowiedziane słowo Agnieszki, każdy jej gest, grymas, zapach w restauracji, reakcje ludzi dookoła, niewielkie natężenie światła w pomieszczeniu - innymi słowy, każdy mały detal

– Adama wolą było – mówiła łamiącym się głosem. – Żeby stypa wyglądała właśnie tak, jak udało się ją odwzorować, żeby mógł was po raz ostatni wszystkich nakarmić i żeby jednocześnie była to uczta pełna ahimsy.

Dodam od siebie, że jako religioznawca mam wielkie wątpliwości, czy to, co wówczas się wydarzyło, stało w ogóle koło tego sanskryckiego pojęcia, oznaczającego przecież „niekrzywdzenie”.

– Zostawił mi szczegółową instrukcję, co i jak mam robić. Przyznaję, że miałam niewielką nadzieję, że uda mi się tego uniknąć, że lekarz obejrzy zwłoki dokładniej, że zobaczy rozcięte pachwiny i nie będę zobligowana do wypełnienia do końca woli mojego męża. Niestety lekarz, jak zwykle, jak większość ludzi w tym kraju, zrobił swoją robotę na odpiardol.

– Jakie rozcięte pachwiny? – zapytała blada jak ściana matka Adama.

– Adam napisał, że wtedy się nie zapieczę – odpowiedziała twardo Agnieszka. – Zresztą – dodała łamiącym się głosem. – Chcę wam tylko powiedzieć, że została wezwana policja, już jedzie. Obejrzyjcie to, co Adam chciał wam pokazać. To tylko trzy minuty. Zdamy.

Zdjęła menu z wiszącej płachty, przesunęła ją na środek, Kikut wyciągnął spod jednego ze stołów laptopa i projektor, szybko ustawił go przed płachtą i włączył TO.

Nagranie składało się z bardzo krótkich ujęć. Przypominało popularne obecnie TikToki kulinarne z przepisami (nawet, tak jak im, towarzyszyła mu lekka muzyka). Widać było na nim ciało Adama, które następnie było przez kogoś zamaskowanego podwieszane do góry nogami, następnie patroszone. Widać było jak wyjmowane są z niego jelita, kawałek wątroby, krótkie ujęcie ukazujące wypłukiwanie fekaliów z jelit, otwieranie czaszki, wyjmowanie mózgu, coś, co można by nazwać obrabianiem „tuszy” Adama obejmujące odcinanie mięśni z szyi, odkrajanie policzków,

mięsa z uda, mięśni z klatki piersiowej, pośladków... Ujęciom tym towarzyszyły pojawiające się na dole ekranu nazwy dań: karkóweczka, policzki, flaczki, cynaderki, wątróbka, mózdzek.

Na tym etapie część rodziny Adama już nie wytrzymała i zarówno jego ojciec, jak i wujkowie, rzucili się w stronę projektora. Zostali jednak zatrzymani przez moich znajomych, którzy pośród przekleństw wykrzykiwali słowa w rodzaju: „zostawcie ją” albo „policja już jedzie, oni się nią zajmą”. Jak się później tłumaczyli, choć nie wiem, czy dawać temu wiarę, nie wiedzieli o „planie Agnieszki”, ale nie chcieli na pogrzebie swojego przyjaciela jeszcze jednego trupa.

Choć wiem, jak strasznie to zabrzmiało, to dalej nagranie robiło się stopniowo coraz bardziej estetyczne. Mięso i podroby krojone były w profesjonalnej kuchni (na pewno nie takiej, jaką miała Agnieszka w domu), nacierane solą i ziołami, skrapiane oliwą. Obok obierano różne warzywa zrywano świeży majeranek, miażdżono czosnek, siekano cebulkę, skrapiano wszystko, zależnie od dania, winem, piwem lub koniakiem.

Na końcu nagrania Agnieszka odczytała ponoć ostatnią wolę Adama, w której napisał on m.in. to, że swoim ciałem chciał spełnić ostatni dobry uczynek i sprawić, by bliscy zawsze mieli jego cząstkę w sobie. Ostatnie zdanie można było uznać za szczególnie niesmaczne, bo Adam miał w swoim testamencie napisać, że jak za kilka, kilkanaście godzin jego mięsożerna rodzina pójdzie do WC, to naciskając spłuczkę, mają sobie wyobrażać, że sprawiają mu „morski pogrzeb”.

Ani wysoki poziom estetyczny drugiej części filmu, ani dowcip na jego końcu, nie zmienił niczego w odbiorze całego zdarzenia przez gości stypy. Ciotka, która jeszcze niedawno czule obejmowała Agnieszkę, zemdląła. Jeden z jego wujków bezceremonialnie się porzygał, matka wkładała sobie palce do gardła, lecz nie dawało to żadnego skutku oprócz chrząkania. Jedna grupa ludzi przepychała się w stronę rzutnika i Agnieszki, druga grupa próbowała ich powstrzymać i uspokoić. Jedynie na poły zdemenciała babcia, które siedziała obok mnie, powtarzała w kółko „co to był za słodki, dobry chłopak”. Mam przynajmniej nadzieję, że jej słowa były objawem demencji.

Kiedy przyjechała policja (a zjawiała się nad wyraz szybko), Agnieszka położyła się na brzuchu na ziemi i wyciągnęła do tyłu ręce – by mogli ją skuć. Choć sam jadłem jedynie dania wegetariańskie, nawet ja poczułem, że coś mnie ściska w żołądku. Wyszedłem z restauracji, gdy tylko była ku temu okazja. Myślałem, że funkcjonariusze zatrzymają mnie lub innych gości, żeby nas przesłuchać i ustalić, co tu się do cholery wydarzyło, ale szybko zorientowałem się, że jednak ciągle jestem w Polsce, wszystko tu się robi, jak powiedziała Agnieszka: „na odpiardol” i mogę po prostu pojechać do domu, nie odezwać się ani do swojej żony, ani do rodziców, a następnie dwadzieścia godzin patrzeć tępo w sufit.

Agnieszka obecnie oczekuje na proces w zakładzie karnym dla kobiet w Krzywińcu. Postawiono jej zarzuty z art. 262 §1. Ponoć policjanci znaleźli odczytywany przez nią testament i biegli grafolodzy mieli potwierdzić, że spisał go Adam.

Nie daje mi w tym wszystkim spokoju, że do dziś zatrzymano tylko Agnieszkę, a przecież film był kręcony w profesjonalnej kuchni, a i zakład pogrzebowy ma przecież jakieś procedury przyjęcia i pilnowania zwłok! Nie mam też pewności, czy osobą obrabiającą zwłoki, widoczną na filmie, naprawdę była Agnieszka. Przecież spory czas po zgonie męża czuwała przy „jego trumnie”. Ponadto odniosłem wrażenie, że był to ktoś większy i znacznie od niej silniejszy. Zupełnie też nie mogę przejść obojętnie obok oczywistego dla wszystkich lokalnych mieszkańców faktu, że w Chojnicach właściciel lokalnego zakładu pogrzebowego jest jednocześnie właścicielem popularnej restauracji, ani obok tego, że całym tym popierdolonym wydarzeniem nie zainteresowały się ani lokalne, ani ogólnopolskie media.

Agnieszka jest ponoć w nie najlepszym stanie psychicznym, co zupełnie nie pasuje mi do tego, że biegli psychiatrzy po krótkiej obserwacji uznali ją za w pełni poczytalną. Niezależnie od tego, co się stało, myślę, że warto wysłać tej kobiecie paczki ze słowami pocieszenia, bo przeżyła ogromną traumę i z pewnością to, co zrobiła (lub w czym tylko uczestniczyła), wynikało z jej miłości i ślepego oddania osobie, którą kochała, a nie ze zbrodniczych skłonności. Proszę tylko przesyłek nie słać na adres zakładu karnego (wówczas jej nie otrzyma), a na adres jej matki, która obiecała raz w tygodniu zawozić je do jednostki penitencjarnej.

Podaję dane:

Mariola Pasierb

ul. 28 lutego, budynek nr 15, lokal nr 3

86-900 Chojmice

Wszystkie opowiadania Adama w jakiś sposób zmieniały moją nastoletnią osobowość, ale to, co zrobił na samym końcu, to arcydzieło makabry na jego pogrzebie, z pewnością zostanie w mojej pamięci do końca życia i obawiam się, że po tym nic nie będzie dla mnie już takie samo. Nie tylko widziałem martwe ciało mojego kolegi, to jak je odwrócone podwieszano na rzeźniczym haku, ale też jak jest patroszone, obrabiane i pożerane, a wszystko to zgodnie z wolą jego samego i wykonane, przynajmniej częściowo, rękoma ukochanej przez niego osoby.

Niemniej po paru miesiącach od tego zdarzenia, ze wstydem muszę przyznać, że dziś żałuję, iż w przeciwieństwie do wielu innych gości, wziąłem danie wegetariańskie. Unikam mięsa, bo nie lubię myśli, że ktoś dla mnie krzywdzi zwierzęta, które z pewnością chciałyby jeszcze żyć. Adam nie był ani zwierzęciem, ani nie uciekał od śmierci, a być może, gdybym go zjadł, wchłonąłbym cząstkę jego popierdolonego geniuszu.



ZACHODZIE SŁOŃCA

Tomasz Matuszewski

Dźwięk padającego deszczu uspokajał go, koił nerwy, łagodził zmęczenie. Dokładnie tak jak u większości ludzi. Tylko nikt nigdy nie zastanawiał się, dlaczego tak jest. Ta myśl właśnie teraz zakiełkowała mu w głowie. Dlaczego kochamy, gdy pada? Do tego tylko nocą. W dzień to tylko powód do irytacji, chyba że jest się rolnikiem liczącym na dobre zbiory.

Tony palił papierosa przy otwartym oknie i wachał mokre, śpiące już, miasto. Wilgotne powietrze działało jak balsam na jego sterane mięśnie, podkrążone oczy i wszechogarniające zmęczenie. Niestety ta krótka chwila odpoczynku nie mogła trwać wiecznie, trzeba było zarobić na czynsz. Mężczyzna podszedł do biurka, spojrzał na gazetę datowaną na 14 sierpnia 1934 roku i zorientował się, że nie sprawdził poczty już od trzech dni. Co poradzić, był bardzo zajęty. Większość korespondencji stanowiły zwykłe śmieci jak rachunek za prąd czy wodę; list od Anny należał do tych, których nie chciał otwierać na trzeźwo – zresztą i tak wiedział, że to zaproszenie na jej ślub. Jego uwagę przykuła koperta zaadresowana niezwykle starannym charakterem pisma. Przeczytawszy pierwsze zdanie listu wiedział, że ma kolejne zlecenie. I to cholernie ciekawe, bo w załączeniu był czek na kilka stów, a do tego zdjęcie pięknej kobiety.

Tony znał takie sprawy, właśnie podobną zakończył, dlatego był taki obolały. Uroczą, zjawiskową, bogatą dziewczyną miała kłopoty, z których wyciągała ją wspierająca rodzina wynajmując ludzi takich jak on.

– Tak myślałem, że nie śpisz. – Słowa te wypowiedział Vincent, patologiczny altruista. Tak nazywał go Tony. Mężczyzna bez zaproszenia wparował do biura.

– W mojej pracy się nie sypia. Co słychać?

– Prowadzę sprawę wysiedlonej rodziny. Walka z władzami to moja pasja.

– I jak zwykle robisz to w czynie społecznym.

– Ktoś musi pomagać słabszym. Widzę, że dostałeś list od Anny. Nie otworzysz?

– Po co, skoro wiem, co w nim jest. Co się tak patrzysz? Jestem detektywem, zarabiam na tym, że wiem.

– Ale nie otworzyłeś koperty... Sprawdzasz po cichu co u niej. To niezdrowe. – Tony wyjął z szuflady dwie szklanki i butelkę tequili. – Ale chyba nie chcesz o tym rozmawiać. A co to za piękność? Kolejny obiekt westchnień?

Vincent wziął do ręki zdjęcie, które przyszło wraz z czekiem i ofertą pracy. Przyglądał się mu z zainteresowaniem i czekał na wyjaśnienia swojego przyjaciela.

– To kolejna sprawa. Panienka w opałach. Nic specjalnego.

– Fotografia mówi co innego. I twoja udawana obojętność też. Podoba ci się, twój typ. Jednak jako kolega radzę ci, byś od tego odpoczął.

– Od pracy?

– Od kobiet w opałach. Chodźmy do baru, nie żebym nie lubił twojego biura, ale masz tutaj podły alkohol.

– Nie dziś, jest późno, a ja właśnie skończyłem jedną robotę i biorę się za następną. Muszę odpocząć i wysłać telegram do zleceniodawcy, że się podejmuję.

– No nic, wpadnij, jak znajdziesz czas. Dzięki za te szczyzny, które podałeś.

Tony został sam i postanowił dokończyć butelkę na tyle, na ile pozwoli jego żołądek. Minęło dobre piętnaście minut zanim uznał, że lepiej będzie, gdy zgasi światło. Jeszcze ktoś mu się napatoczy po nocy i będzie zawracać tyłek. Jego obawy sprawdziły się w momencie podnoszenia się z krzesła.

– Dobry wieczór. Pan Anthony Lodd jak mniemam? – Mężczyzna ubrany w zwykły prochowiec, czarny kapelusz i z opaską na oku wyciągnął do niego rękę na przywitanie.

– Tak, ale właśnie zamykam. Jeżeli ma pan interes to musi poczekać, panie...

– To akurat nieistotne i proszę się nie przejmować, wiem, że ma pan ręce pełne roboty. Właśnie przyjął pan sprawę Veroniki Detlie.

Bezimienny przybysz usiadł wygodnie na krześle, na którym jeszcze niedawno Vincent pił tequilę. Uśmiechnął się pod swoim drobnym, czarnym wąsem i wyciągnął z kiszeni papierośnicę.

– Niech pan się poczęstuje, wypalił pan przecież ostatniego. Proszę nie robić takiej zdziwionej miny. Jeśli to pomoże, proponuję uznać mnie za magika albo ewentualnie cygana z darem profetycznym – mężczyzna zachichotał. – Otóż ja również prowadzę pewną sprawę, w którą owa kobieta z fotografii może być, niech no poszukam odpowiedniego słowa, umoczona, tak! Idealne słowo.

– I co w związku z tym? Mam odpuścić zlecenie, bo nawiedził mnie jakiś cygański magik?

Nagle rozległ się dźwięk grzmotu, a w biurze detektywa zgasło światło. W tych ciemnościach widać było jedynie żarzący się papieros przybysza i błysk jego oka. Tony instynktownie sięgnął po rewolwer.

– Nie radzę, panie Lodd, po pierwsze nie mam złych zamiarów, a po drugie... jestem szybszy. – Elektryczność niespodziewanie wróciła, a blask żarówki na chwilę oślepił Anthony'ego.

– To tylko burza, nie ma powodu do stresu. Pewnie wiatr pobujał linkami, stąd spięcie. Wracając do tematu. Nie zamierzam niczego panu odmawiać. Życ z czegoś trzeba. Proszę tylko, by natrafiając na mój trop w trakcie tej misji, nie tracił pan na mnie czasu. Zrobię nawet coś w zamian, pomogę. Wiedząc, że ma pan opóźnienie o jakieś trzy dni, w końcu ktoś musiał uporać się z odnalezieniem ojca dziecka panny O'Malley. Tak na marginesie, nieźle ten skurczybyk cię obił, Tony. Mniemam, że mogę ci mówić po imieniu.

– Powiedzmy. – Tajemniczy mężczyzna znów się uśmiechnął.

– Pysznie. Tak więc dam ci trop. Otóż panna Detlie spędza wszystkie noce w klubie o nazwie „Krwawa Mary”, to ich popisowy drink. Nie będzie trzeba teraz tracić czasu na śledzenie jej i takie tam. Rozumiem, że jesteśmy ugadani. Piękny wystrój biura, na ścianie widzę szablę konfederacką, po dziadku Henrym. Cenię ludzi szanujących tradycję. Do zobaczenia.

– Jedno pytanko cygański magiku. Czego dotyczy twoja sprawa?

– Okaleczenia, a dokładniej wylupienia oka.

Dopiero gdy mężczyzna opuścił gabinet, Tony przestał dotykać rewolweru przyczepionego do spodu blatu swego biurka. Nieznajomy miał w sobie coś mrocznego i intrygującego zarazem. Właśnie o takich ludziach pisze się w tanich, pulpowych magazynach. Zlecenie dotyczące panny Veroniki jednocześnie stało się bardzo dziwne i pociągające. Mężczyzna przyłapał się na wpatrywaniu w jej fotografię i zbeształ swoje brudne myśli. O tym wspominał Vincent. Kobiety owiane nimbem i atmosferą niebezpieczeństwa źle na niego działały. Nie musiały być nawet szczególnie ładne, wystarczała nuta grozy i tajemnicy, a on nie mógł wygonić ich z głowy.

Anthony spojrzął na zegar, który wskazywał trzecią nad ranem. Wypił jeszcze łyżeczka tequili, by uspokoić się po wtargnięciu tego cygana, a potem zasnął w fotelu, obejmując z czułością pustą butelkę. Śnił o kobiecie ze zdjęcia.

Z samego rana trzeba było wysłać telegram na wskazany w liście adres. Nie było to zadanie przyjemne, ale konieczne. Tony nie lubił urzędów pocztowych, pełno ludzi wysyłających nikomu niepotrzebne pocztówki, starsze kobiety liżące znaczki pocztowe, znudzeni mężczyźni nie potrafiący wypełnić druków w poprawny sposób – katorga dla detektywa, który wyuczony jest obserwować i rejestrować wszystko, co widzi. Po każdej takiej wizycie Anthony cierpiał z powodu powracających wizji starych języków dotykających znaczków.

Wypełniwszy swój obowiązek, postanowił wałnąć klina na małego kaca, który go męczył. Odwiedził bar prowadzony przez starego, pomarszczonego Meksykanina. Tak naprawdę to Antonio nie pochodził z Meksyku, tylko jego matka. Jednak tyle wystarczyło, by dla wszystkich został Meksykaninem. Tony usiadł wygodnie przy stoliku i myślał, gdzie może znajdować się przybytek „Krwawa Mary”. Mimo swojej bogatej historii spożywania alkoholu, nigdy nie spotkał się z tą nazwą. W Nowym Orleanie było co prawda wiele knajp, ale bez przesady. Postanowił więc zapytać o to barmana, oczywiście bez skutku.

Anthony przeklął się w duchu za lenistwo. Zamiast po bożemu rozpocząć obserwację panny Detlie, polegał na słowach obcego człowieka, któremu za nic nie ufał. Wspominając błysk, który zobaczył w oku nieznajomego, gdy na krótką chwilę zgasły światła, przechodził go dreszcz. W sumie to dlatego poszedł się teraz napić. Kac nie był aż tak dokuczliwy, ale spotkanie z tym magikiem od siedmiu boleści pozostawiło na Tony'm jakiś ślad. Trudno dokładnie opisać, co to było. Jednak ciążyło mu to uczucie i to bardzo.

Jako że zmarnował już większą część poranka, musiał zrobić to, czego nie lubił – wydać pieniądze. Jeżeli nie wiadomo, gdzie jakaś szumowina aktualnie przebywa albo nie można odnaleźć szemranego miejsca, to trzeba zapytać czarne, uliczne dzieci, albo jakiegoś żebraka. Oni zawsze wiedzą, co dzieje się w mieście, a szczególnie w szarej strefie. Niestety taka usługa kosztowała. Niby niewiele, ale koniec końców w portfelu ubywało sporo gotówki.

Po wczorajszej burzy nie było już śladu. Ulice wyschły momentalnie, a miasto w oczach Anthony'ego straciło urok. Tak jak przypuszczał, zmarnował na wypytywanie biedaków wiele czasu i pieniędzy. Zauważył do tego, że u niektórych z nich sama wzmianka o „Krwawej Mary” powodowała zdenerwowanie. Nie był to dobry znak. Miejsce musiało budzić strach, a może nawet grozę. Zrezygnowany detektyw, gdy słońce osiągnęło zenit, usiadł na ławce i zapalił papierosa. Postanowił, że przy następnym, zmieszonym nazwą klubu łapserdaku, wymusi na nim jakieś konkretne wyznanie – pieniędzmi lub groźbą.

– Ej, facet! Do ciebie mówię. – Dziewczyna miała około piętnastu lat, w dłoni trzymała drewnianą fajkę, a jej oczy wyrażały irytację. – Ty wypytujesz o „Krwawą Mary” ?

– Ano ja.

– To nie rób tego. Nie tutaj. To terytorium mambo Catherine i my się w to nie mieszamy.

– No to mamy problem, bo ja muszę się tam dostać. I jestem w stanie rozstać się z moim przyjacielem Jerzym Waszyngtonem, żeby się tego i owego dowiedzieć. – Anthony wyjął banknot i podał dziewczynie.

– Dobra, ale więcej nie pytaj, bo zwracasz na siebie uwagę; mambo nie lubi ludzi z klubu. „Krwawa Mary” jest otwarta codziennie od zachodu do wschodu słońca, wchodzi się przez sklep ze starymi rzeczami na Patterson Street.

– Znaczą się z antykami?

– No, ze starymi rzeczami. I jeszcze jedno. To złe miejsce, bardzo złe.

Dziewczyna obróciła się na pięcie i odeszła tak szybko, jak niespodziewanie się pojawiła. Spotkania z wyznawcami voodoo nie były przyjemne, ale w oparach swoich dziwacznych wierzeń stworzyli oni całkiem sprawną społeczność, mającą szerokie wpływy. Jeżeli owa mambo nie przepadała za klubem, do którego uczęszczała Veronica Detlie, to musi być coś na rzeczy.

Anthony wróciwszy do swego biura zaczął dokładniej rozmyślać o zleceniu. Monica Detlie, młodsza siostra Veroniki, zaniepokojona zmianą w jej zachowaniu, prosi go o pomoc. Płaci z góry i zleca zdobycie wiedzy na temat życia dziewczyny. W grę wchodzi jeszcze szantaż, jakiemu poddana miała być Veronica. Zleceniodawczyni znalazła u niej list, w którym ktoś groził dziewczynie ujawnieniem pewnego sekretu. Starsza z sióstr oznajmiła, że już dawno się tym zajęła i chodziło o bagatelną sprawę obyczajową.

Jeżeli świat się za bardzo nie zmienił od wczoraj, to Tony wiedział, że w klubie, przy alkoholu, albo i czymś więcej, pozna prawdziwą twarz Veroniki Detlie. Może to być najłatwiejsze zlecenie jego życia. Pozostawał tylko ten magik... Jego osobista vendetta stanowiła ewentualne niebezpieczeństwo.

Detektyw sprawdził stan rewolweru, wziął dodatkową amunicję i włożył w but mały scyzoryk. Oczywiście nie zapomniał o papierosnicy, w końcu szedł do klubu. Po zerknięciu na zegarek obliczył, że do wyjścia zostało mu jeszcze kilka godzin. Postanowił spędzić ten czas na rozmyślaniu. Z początku chciał skupić się na osobie panny Detlie oraz tym, co może go tej nocy spotkać. Szybko jednak jego myśli zwróciły się w kierunku listu otrzymanego od Anny.

Nie zamierzał iść na jej ślub. Ludzie tylko by gadali, zresztą... on szczerze nie lubił takich uroczystości. Tolerował pogrzeby, ale też nie zawsze. Niektóre bywały zbyt smutne, inne za wesołe. Chcąc nie wyobrażać sobie swojej byłej narzeczonej w białej sukni, ujął w dłoń zdjęcie Veroniki.

Ta kobieta niewątpliwie coś w sobie miała. Nie tylko urodę, oczywiście, ale też sposób bycia. To dziwne jak wiele wniosków wysnuł Tony, patrząc tylko na zdjęcie. Poza, którą przybrała kobieta w chwili robienia fotografii, mówiła o jej pewności siebie, a może nawet więcej – poczuciu wyższości. Veronica nie wstydziła się siebie, była dumna i świadoma swoich atutów. W takiej osobie można się zadurzyć.

Tony usłyszał energiczne pukanie do drzwi i zanim zdążył zaprosić gościa do środka, Vincent wszedł do biura, zdejmując jednocześnie kapelusz. Usiadł przy biurku i z ciekawością wpatrywał się w przyjaciela.

– Proszę, może usiądziesz – powiedział zirytowany Tony.

– Znasz faceta z opaską na oku zachowującego się jak połączenie Billy’ego Kida i medium?

– Mi przedstawił się jako cygański magik.

– Ciekawe, bo był u mnie pół godziny temu i prosił mnie, bym przekazał, żebyś uważał dziś w klubie. Zasugerował, byś nie pił i najlepiej zmówił kilka zdrowasiek.

– Ten koleś zaczyna mnie denerwować.

– Kto to jest?

– Nie wiem, ale jest zamieszany w sprawę tej tu, na zdjęciu.

– Kim ona jest?

– Nie wiem. Zdałem się na tego magika. Zresztą, jestem zmęczony po poprzednim zleceniu. Nie miałem czasu... Wiem! Jestem cholernie leniwy! Idę w ciemno do jakiegoś szemranego baru, szukać Bóg wie czego, ale to zbyt dobre pieniądze, żeby odmówić.

– Nie wykręcaj się forszą. Jesteś po prostu ciekawy. Tego o co chodzi i kim jest ta kobieta. To może się źle skończyć. Odreagowujesz ślub Anny, bierzesz sprawy, jakby to były darmowe cukierki. Wszystko, żeby nie myśleć.

Tony chciał odgryźć się Vincentowi, ale słowa uwięzły mu w gardle. Spojrzał na zdjęcie Veroniki i pokręcił przecząco głową.

– Cholera, powinienesz wziąć kilka dni wolnego albo chociaż się wyspać. To wszystko czymś śmierdzi. Po co ryzykować?

– A ty co tak naciskasz? Nigdy nie byłeś taki lękliwy? O co chodzi?

Vincent przybrał dziwną minę, której Anthony nie widział od czasu, gdy dwóch chłopaków ze szkoły zasadziło się na nich za śmietnikami. Jego przyjaciel się bał.

– Ten koleś... on jest straszny. Patrzył tym swoim okiem, jakby widział moją duszę... Mówił takie rzeczy...

– Walić go i jego czarcie sztuczki. To tylko triki. Gada rzeczy, które pasują do większości populacji i wprowadza ludzi w konsternację. Buduje przewagę psychologiczną, żeby osiągnąć swoje cele. Jest cwany, tyle.

Tony powiedział to bez zająknięcia, z lekceważącym tonem. Chciał wierzyć w swoje słowa, ale nie potrafił. Nieznajomy też go przerażał, ale nie mógł pozwolić, by strach owładnął też Vincentem. Przyjaciel w odwodzie mógł okazać się kluczowy, jeżeli coś poszłoby nie tak.

– Nie przejmuj się. Zaraz wychodzę. Wrócę pewnie tuż przed albo po wschodzie słońca. Przyjdź tutaj, to zdam ci raport. Dobrze?

– Niech ci będzie, Tony, ale uważaj na siebie. I jak spotkasz tego cygana, powiedz mu, żeby się odpierdolił.

Patterson Street była jedną z najbardziej zaniedbanych ulic w Nowym Orleanie. Nawet dzielnice czarnej biedoty miały w sobie jakiś urok, pewną duszę, którą można się zachwycić, a przynajmniej tolerować. Tutaj widział tylko biedę, szare, zniszczone budynki, kupę śmieci i ogromne szczury. Wszystko wydawało się martwe, puste i wyludnione.

Tony przyczał się chwilę za jednym z koszy i czekał, aż ktoś wejdzie do sklepu z antykami. Nie zdążył nawet wypalić papierosa, gdy nadarzyła się okazja, by wejść do „Krwawej Mary”. Tak jak przypuszczał, sklep był podpuchą. Czarny mężczyzna, ubrany w wytworny garnitur, wprowadził detektywa, wraz z kilkoma innymi osobami, do piwnicy, która okazała się lokalem.

Podziemia pod sklepem były o wiele większe, niż przypuszczał. Ktokolwiek urządzał to miejsce, miał rozmach. Piwnice kilku domów zostały połączone i wystrojone w sposób tak bogaty, że odejmowało mowę.

Cała rzesza ludzi o różnym pochodzeniu, ubranych każdy po swojemu, bawiła się w najlepsze. Na scenie zespół grał żwawy jazz, a tancerki wywijały fikołki, odziane w sumie w nic, co można by nazwać ubraniem. Atmosfera była euforyczna, rozpasanie i brak jakichkolwiek dobrych obyczajów raziły po oczach, nawet tak źle wychowanego człowieka, jakim był Tony. Detektyw postanowił przyjrzeć się gościom tego dziwaczного klubu i wypatrzyć Veronicę.

– Pomodliłeś się przed wejściem tutaj?

Anthony spodziewał się spotkać tu tego mężczyznę. Życie było zbyt podłe, żeby to się nie wydarzyło. Magik ubrał się nad wyraz wykwintnie, miał świetnie dopasowany frak i nonszalancko trzymał w dłoni papierosa. Jednak w jego wyglądzie zaszła ogromna zmiana. Na oku nie miał opaski, a do tego, jak zauważył Tony, wcale jej cwaniak nie potrzebował.

– Widzę, że znalazłeś oko.

– To tylko atrapa, przyjrzyj się dokładniej.

Rzeczywiście, z pewnością nie była to żywa, prawdziwa gałka oczna. Pytanie tylko, czym do cholery była. Dało się zauważyć, ale dopiero z bardzo bliskiej odległości, że oko jest sztywniejsze i dziwnie się świeciło.

– Co to jest? – Nieznajomy coraz bardziej przerażał Tony’ego.

– Cud. Kłątwa. Zależy jak często się tego używa.

– To niby jakoś działa? Gadasz głupoty. Jak ja mogę słuchać tego pierdolenia?

– Posłuchasz jeszcze więcej. Otóż jak nic będziesz teraz siedział przy barze i filował za panną Detlie. Uprowadzam jednak, że nie jest tu bezpiecznie, a ja właśnie wychodzę i nie będę cię niańczyć. Sam fakt, że tu jesteś, świadczy o twoim zmęczeniu. Olałeś śledzenie, zebranie informacji i podstawowe przygotowanie. Posłuchałeś rady obcego, bo skusiły cię kasa i dziewczyna. W sumie

to przez moje dobre serce i chęć pomocy możesz stąd nie wyjść żywy. No nic, mówi się trudno. Jesteś dorosły.

Mężczyzna odwrócił się z zamiarem wyjścia z klubu. Zatrzymał go głos Anthony'ego.

– Ej, znalazłeś to, czego szukałeś?

– Prawie. A tak w ogóle, to nazywam się Jessy. Niech Pan nad tobą czuwa, Tony.

Kolejne spotkanie z magikiem skończone konsternacją. Mężczyzna zachowywał się jednocześnie tak, jakby wyszedł z obory i wychowywał się w wyższych sferach. Był dziwny i nietaktowny, zarazem rzucał dobrymi radami, a nawet błogosławił na drogę. Detektyw miał nadzieję, że jeszcze kiedyś go spotka i usłyszy historię jego oka.

– Co podać? – zapytała urocza barmanka. Anthony uśmiechnął się zawadiacko.

– Krwawą Mary.

Wtedy się zaczęło.

Drink miał metaliczny smak. Trochę to było dziwne, ale na alkohol się nie narzeka. Kiedy zaczyna smakować, to ma się problem. Takie nastawienie do picia miał Tony. Jednak już po pierwszych sekundach od momentu, gdy ostra ciecz dotknęła ścianek jego gardła, umysł zaczął płatać mu figle. Zobaczył, jak do klubu wchodzi gromadka biednie odzianych ludzi, a raczej dzieci. Ich zachowanie również nie należało do zwyczajnych. Chwiali się, jakby byli odurzeni. Muzyka grana przez zespół stała się żwawsza, wręcz orgiastyczna. Rytmiczne rzępolenie przeistoczyło się w dzikie wycie instrumentów. Anthony nie rozumiał, co się dzieje, kręciło mu się w głowie, oddychał coraz trudniej. Pocił się i zaschło mu w gardle.

– Pan Lodd, witam. Veronica Detlie.

Tony z trudem zamaskował zdziwienie. Kobieta usiadła tuż przy nim i popijała drinka. Patrzyła na niego z zainteresowaniem. W jej zielonych oczach widać było radość, bawiła ją ta sytuacja. Detektywa jednak bardziej od działania, interesował jej wygląd. Kasztanowe włosy, smukła figura i piękna sukienka – nie tak skąpa, jak u niektórych w klubie – działały upajająco. Można by nawet pomyśleć, że zbyt wielkie zrobiła na nim wrażenie. To nie było naturalne.

– Wiem, kim pan jest. To ja płacę rachunki w domu, jestem starsza, służba donosi mi o wszystkim. Siostra nie jest zdolna do samodzielnego chodzenia, a co dopiero knucia.

– Nie rozumiem...

– Wysłała do pana list, bo jest przykuta do łóżka. Pokojówka jest jej psem gończym, więc mnie szpieguje, ale pozwalam jej na tę odrobinę rozrywki. Najchętniej olałabym pana, nawet bym zapłaciła, żeby tylko się ode mnie odpieprzyć. Jednak jakimś cudem – uwodzicielsko spojrzała mu w oczy – trafiłeś tutaj. Interesujące.

Tony próbował odpowiedzieć na jej monolog, ale nie miał dość siły, by to zrobić. Świat wkoło wirował. Widział rzeczy, których nie mógł zobaczyć. Klubowi goście leżeli na podłodze

w różnych pozach, chodzili po ścianach i zwisali z sufitu. Biednie dzieci bezwładnie leżały obok części z nich i wyglądały na nieżywe. Detektyw zobaczył strużki krwi spływające z dłoni, nóg i szyj nieszczęsnych niewiniątek.

– Dlaczego tu jesteś? Mogłeś wziąć czek i rozplynąć się w powietrzu.

Anthony z ogromnym trudem powiedział:

– Ciekawość.

– Czego byłeś taki ciekaw?

– Ciebie...

Kobieta spojrzała na niego przychylnie i wzięła go za rękę. Czuł strach, nie miał pojęcia co dodali mu do drinka, ale kopało mocno. Był też odurzony osobą Veroniki. Nie potrafił się jej oprzeć i to nie dlatego, że go naćpali. Chciał, żeby go porwała, pragnął ją poznać, wąchać jej perfumy, patrzeć w oczy, podziwiać pewność siebie i słuchać jej ciętych komentarzy i cynicznych wtrąceń.

Ta noc była niezwykła. To co widział, zlewało się ze sobą, tworząc fantastyczny koktajl grozy i ekscytacji. Krew mieszała się z alkoholem, słowa z muzyką, sen z jawą, pożądanie z przestraszeniem. Wtedy pokochał Veronicę Detlie.

Było to dziwne, ale obudził go nieznosny dotyk promieni słonecznych. Jego skóra niesamowicie swędziała. Potem poczuł okropny ból głowy i odrętwienie całego ciała. Próbował wstać, aby to uczynić przytrzymał się biurka. Był w swoim gabinecie. Zaczęły do niego powracać obrazy z minionej nocy. Rzeczy okropne i niemożliwe, by były prawdziwe. Sięgnął po butelkę alkoholu, która jak zwykle czekała na niego w szufladzie.

– Matko boska...

– Vincent, co do cholery tu robisz? – Przyjaciół detektywa wstawał właśnie z podłogi, trzymając się za zakrwawioną głowę. Rana nie mogła być głęboka, bo mężczyzna inaczej by się nie obudził.

– Przyszedłem, jak prosiłeś... ale mnie łeb napier... i weszła tu jakaś kobieta z tobą na plecach. Przywitała się i dzieliła mnie w łeb. Czy to nie ta twoja panna w opałach?

Anthony zmacał się po kieszeniach i zauważył, że nie ma broni. Zaklął po cichu i próbował ogarnąć sytuację.

– Idź do domu albo do lekarza. Niech załata ci dziurę w głowie. Ja muszę coś załatwić. Kurwa, niedługo wieczór. Cały dzień tu leżymy.

– Co chcesz zrobić?

Tony zdjął ze ściany konfederacką szablę.

– I tak byś mi nie uwierzył.

Droga do „Krwawej Mary” nie była przyjemna z wielu powodów. Wszystko go bolało, słońce dziwnie piekło, a do tego próbował nie zwariować z powodu spędzenia nocy z jebanym wampirem. W momencie gdy stanął przed sklepem z antykami, zwątpił w to, co robił. Jednak był bardzo zmęczony i nie chciał wracać taki kawał drogi bez przekonania się, że albo świat jest bardziej pochrzaniony, niż myślał, albo brał wczoraj bardzo dziwne narkotyki.

Kopniakiem wyważył drzwi i wparował do sklepu. Na pierwszy rzut oka, nic nie wyglądało podejrzanie. Tony podszedł do schodów prowadzących do piwnicy i zauważył ogromną plamę krwi. Wysunął ostrze z pochwy i najciszej, jak tylko potrafił, schodził na dół. Po drodze minął człowieka, który wczoraj wprowadził go do środka. Facet miał dziurę w głowie.

– Jessy, jeszcze jeden – starsza kobieta podpierająca się na masywnej, drewnianej lasce wskazała go palcem.

– A nie, panno Catherine, to ten detektyw. – Cygański magik uklonił się Tony’emu i kontynuował rozlewanie benzyny po całym klubie. W miejscu, gdzie wczoraj grała kapela, leżał stos ciał.

– Jak mówię, że jeszcze jeden, to jeszcze jeden.

Mężczyzna skinął smutno głową.

– On nie należy do umowy.

– Co tu się odpiędała. Że niby co, kim wy do jasnej cholery jesteście? Mam uwierzyć, że... O nie! Ty! Magik! Wyjaśnisz mi wszystko i to teraz, bo jak nie, to rozwalę ci łeb szablą dziadunia.

– Ja nic nie muszę tłumaczyć, przecież wszystko wiesz. Na twoim miejscu poszedłbym do Moniki Detlie i odebrał pieniądze za wykonane zadanie. Adres znasz, był na kopercie. Idź póki jeszcze znosisz słońce i nie przeszkadzaj w pracy porządnym ludziom.

Anthony stał przez chwilę całkiem bezradny. Zrezygnowany skierował się do wyjścia.

– Jeszcze jedno, panie cygan. Kolega kazał ci się odpiędolić. – Panna Catherine zachichotała. Detektyw opuścił lokal i poszedł do zleceńodawcy.

Dom stał majestatycznie na niewielkim wzniesieniu, otoczony był kordonem wysokich drzew. Trawnik był bardzo zaniedbany, tu i ówdzie walały się jakieś miski, garnki i inne graty. Na werandzie siedziała staruszka zaaferowana robótką z wełny. Wyglądała na służącą, zmęczoną i przestraszoną życiem. Zobaczywszy Tony’ego krzyknęła i wpadła do domu, robiąc wiele hałasu. Mężczyzna pobiegł za nią, machając ręką, dając znaki, by przestała się wydzierać.

Posiadłość była w jeszcze gorszym stanie, niż trawnik. Zwały kurzu i brudu zalegały na podłodze, regałach i bibelotach służących dawniej za ozdobę. Wszędzie panował nienaturalny mrok. Anthony pobiegł za kobietą do jednego z pokoi. Zobaczył tam scenę wykraczającą poza jego rozumienie.

Z sufitu zwisało nagie cało dziewczyny o szarych włosach. Wyglądała jak połączenie młódki ze staruszką. Z podciętego gardła, do kielicha położonego na podłodze, kapła krew. Obok niego leżała panna Detlie.

– Cicho Edith, widzę przecież, że przyszedł. Podejdź no, kochana.

Gwałtownym machnięciem ręki Veronica urwała głowę służącej. Tony krzyknął i szybko wyciągnął szablę.

– Bezżyteczna. Trzymałam ją z sentymentu, no i ktoś musiał utrzymywać Monicę przy życiu. No, ale po tym jak moja siostrunia cię wynajęła... tak się, kurwa, nie robi. Własną rodzinę? Zdrada na każdym kroku. Musiałam ją zabić. Tak na marginesie, jej krew okropnie smakuje. Wszystko w porządku, mój ty rumaku? Jesteś troszkę blady. To przemiana tak daje ci w kość, czy to strach?

– Ja... to niemożliwe. Nie. Naćpałem się, tak! To wszystko wyjaśnia.

– Wyparcie. Klasyka. Też tak miałam. Spokojnie, nie ma się co unosić, jakoś to będzie.

Wtedy Anthony skoczył ku wampirzycy, celując szablą w jej głowę. Veronica zwinnie uskoczyła i uderzyła go na odlew w twarz. Mężczyzna poleciał w stronę okna. Gruchnął o podłogę i wykaszlał trochę krwi.

– Miałam nadzieję, że mnie polubiłeś. W nocy byłeś bardziej rozmowny. Czy to może drink tak rozwiązał ci język? My wampiry pijemy inne rzeczy, niż ludzie. Alkohol na nas nie działa, musimy brać coś mocniejszego. No nie wierć się, nie ma co tego przedłużać. Chciałam zrobić z ciebie swojego towarzysza, może przyjaciela. Jeżeli jednak podnosisz na mnie rękę, to kara może być tylko jedna.

Detektyw złapał za ciężką, grubą, zieloną zasłonę i szarpnął z całej siły. Materiał spadł i objawił jeden z najpiękniejszych widoków, jaki może zobaczyć człowiek – zachód słońca. Veronica wrzasnęła, jej smukłe ciało stanęło w płomieniach. Jęki umierającej wampirzycy rozrywały uszy. Konający potwór wierzgał i dotykał wszystkiego, co miał pod ręką. Dywany zajęły się ogniem pierwsze, potem poszło już szybko. Tony chwiejnym krokiem wyszedł z płonącego budynku. Na zewnątrz czekał na niego Jessy.

– Miałem się nie mieszać, ale Catherine uznała, że jeżeli cię lubię, to powinienem skrócić twoje cierpienia. Niestety, mambo ma rację, jak zwykle. Przykro mi, ale za kilka dni staniesz się piekielną bestią, a to niezbyt przyjemne. Przepraszam.

Kula trafiła Anthony'ego prosto w serce. Mężczyzna padł na ziemię i umarł. Nie doświadczył wtedy ulgi, ale nie był też zły. Nieznośne swędzenie skóry, wystawionej na promienie słońca – to ostatnie, co czuł.



OCZY SARNY

Aleksandra Knap

Patrzyły na mnie oczy sarny.

Obserwowały, jak zmierzam w stronę domu. Drewniana chata znajdowała się w środku lasu, z dala od zabudowań i ludzkiej ciekawości. Krople potu spływały wzdłuż kręgosłupa, brudne włosy lepiły się do czoła. Szurałam podeszwami po żwirowej drodze, wzbijając pył w powietrze. Zatrzymałam się przed krzewami jarzębiny i kępami wysokiej trawy, starając się uspokoić oddech. Jeszcze mocniej zacisnęłam palce na pasku torby. Zmieściłam w niej cały swój marny dobytek.

Liście drzew prezentowały ogniste kolory. Czerwieniły się z powodu braku wody. Przybierały pomarańczową barwę, tracąc siły. Żółkły, obumierając z głodu. Gdy ustawało w nich życie, zdmuchiwał je wiatr.

Sarna stała pod sosną.

Dostrzegłam ją, wchodząc na werandę. Wysuszone łodygi zwisały z doniczki przymocowanej do balustrady. Wiklinowe krzesło stało przy ścianie. Lampa kołysała się nad wejściem. Bluszcz pokrywał frontową powierzchnię budynku. Przez uchylone drzwi do wnętrza wpadały kasztany i żwir.

Gdy przekroczyłam próg, przywitał mnie zapach igliwia.

Ojciec był leśnikiem. Więcej czasu spędzał między drzewami niż w domu. Wychodził o świcie, wracał wieczorem. Kolację jadł w milczeniu, przez cały czas spoglądając przez okno. Przesiąknięte żywicą ubranie wieszał przy kominku. Siadał w bujanym fotelu i wzdychał tak ciężko, aż przygasał ogień w palenisku.

Matki nie znałam. Zostawiła nas zaraz po porodzie. Ojciec nie potrafił o niej rozmawiać. Spuszczał wzrok, gdy zadawałam pytania. Odwracał się plecami, nie udzielając odpowiedzi. Wspomniał o niej tylko raz, gdy podczas słonecznego dnia leżałam na łące wśród kwiatów i plotłam wianek ze stokrotek. Usiadł obok mnie, pogładził po włosach i wyznał, że urodę odziedziczyłam po matce.

Następnego ranka wyszedł z domu i nigdy nie wrócił.

Mieszkałam u babki, która jesienią zbierała żołądź, a latem próbowała mnie nauczyć sztuki dziergania. Wiezorami brała do ręki szczotkę z włosiem dzika i rozczesywała moje włosy. Długie kosmyki jaśniały zimą, za to na wiosnę przybierały rudobrazową barwę. Babka zmarła kilka dni temu, zostawiając mi w spadku nalewkę i wełniany sweter.

Pnącza bluszczu wtargnęły do salonu przez dziurawy dach. Rozrastały się na suficie, zmierzając w stronę jadalni. Obicie sofy pokrywała warstwa kurzu.

Uchyliłam czarne od sadzy drzwiczki kominka. W palenisku leżało nadpalone drewno. Z przepełnionej szuflady wysypywał się popiół.

Usłyszałam skrzypnięcie. Uniosłam głowę, zahaczając o pajęczynę rozpostartą między żyrandolem a kratą wentylacyjną. Cienkie nici oblepiły moje rzęsy, wplątały się we włosy. Wiatr poruszał nieomkniętym oknem, a zawiasy wydawały piskliwy dźwięk.

Wejście do piwnicy znajdowało się pod schodami prowadzącymi na piętro. Odnalazłam dłoń włącznik. Żarówka migiała, rzucając nikłe światło. Gdy postawiłam nogę na stopniu, trzasnęła spróchniała deska. Przytrzymałam się poręczy, próbując złapać równowagę. Kucnęłam i rozejrzałam się dookoła.

Puste słoiki walały się na półce. Kartony gniły, przyciągając ślimaki. Woda gromadziła się na posadzce. Na jej powierzchni unosiły się żdźbła trawy. Pluszowy miś leżał na skrzynce. Gdy wyciągnęłam rękę, by po niego sięgnąć, żarówka zasyczała i zgasła. Zapadła ciemność.

Zmierzałam ścieżką prowadzącą do lasu. Pień wierzby wyginał się nad ziemią, tworząc łuk. Gałęzie wraz z żółtymi liśćmi zanurzały się w stawie. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w gładkiej tafli.

Gęste kępy zielonego mchu pokrywały kamienie oraz północną stronę drzew. Szyszki wraz z igliwem oraz owocami jarzębiny tworzyły ściółkę. Wiewiórka przebiegła między prawdziwkami, trzymając w zębach żołędzia.

Ciszę przecięło kwiczenie.

Przedzierałam się przez krzewy kruszyny w poszukiwaniu samicy dzika. Tylko jedno zwierzę mogło wydawać podobne dźwięki. W zaroślach odnalazłam lochę. Leżała w barłogu wyściełanym chrustem, suchą trawą i gałęziami. Fuką, przebierając racicami. Warchlaki zgromadzone obok niej wydawały charczące odgłosy. Rozpychały się, walcząc o miejsce przy sutkach. Z cętkowanych grzbietów spływała krew zmieszana ze śluzem.

Locha wydała żalosny kwik. Napięty brzuch obwieszczał przyjście na świat kolejnego potomka. Przez opuchnięty srom wydostawało się łóżysko, a wraz z nim drobne palce ludzkiej dłoni.

Za moimi plecami spadła szyszka i potoczyła się po ziemi. Uciekłam do domu.

Obudziło mnie ukłucie. Usiadłam na łóżku, rozmasowując przedramię. Pod palcami wyczułam ostro zakończony element wystający ponad powierzchnię skóry. Odrzuciłam cuchnący stęchlizną koc, który nie dawał ciepła. Trzęsłam się z zimna. Kurz spływał po szybach wraz z kroplami deszczu. Na parterze skrzypiało okno.

Wysłam na korytarz w poszukiwaniu światła i pęsety. Zgromadzony na podłodze brud lepił się do stóp.

Stałam przed dawnym pokojem ojca. Uchylone drzwi zachęcały, by zajrzeć do środka. Na blacie przymocowanym do ściany znajdował się móździerz oraz pusta butelka po spirytusie. Rozsypane na podłodze igliwie wydzielало intensywną woń.

Do późnych godzin nocnych słyszałam przez ścianę odgłos przesuwania naczyń i przelewania płynów. Któregoś razu stałam w progu z rozczochranymi włosami i misiem pod pachą.

Ojciec wsypywał do miski świeże igły, które następnie zalewał ciepłą wodą z dodatkiem szarego mydła. Namoczone gałązki wyciągał po kilkunastu minutach i rozkładał na papierowym ręczniku. Czekał cierpliwie aż wyschną, by rozetrzeć igliwie tłuczkiem. Siedziałam na krześle, opierając brodę na kolanach. Przyglądałam się tej krzątaniu podkrążonymi z niewyspania oczami.

Ojciec wrzucił igły do słoika i zalał roztworem, którego ostry zapach podrażniał nos. Polecił mi odstawić zamknięte naczynie na półkę i nie odkręcać, dopóki płyn nie nabierze jasnozielonej barwy.

Stojący w rogu pokoju regał zajmowały olejki. Odkręciłam jeden ze słoików, nabierając na palec oleistej substancji. Aromat lasu przypominał mi ojca bardziej niż portret wiszący na ścianie.

Weszłam do łazienki. Zgromadzona w zakamarkach pleśń oraz wilgoć spływająca po ścianach utrudniały oddychanie. Kaszlnęłam. Sięgnęłam do szafki, natrafiając na zaschniętą pastę do zębów oraz resztki kremu. Pęseta leżała w przyborniku razem z pilnikiem i nożyczkami.

Gdy zsunęłam się na podłogę, chłód płytek rozszedł się po pośladkach. Sosnowa igła tkwiła głęboko w skórze. Chwyciłam ją szczypcami i wyszarpnęłam. Pozostało jedynie niewielkie wyżłobienie. Ulga mieszała się z poczuciem straty.

Przetarłam dłonią lustro, strącając kłęby kurzu. W odbiciu ujrzałam niebieskie oczy i smukłą szyję.

Opatuliłam się swetrem i wyszłam na werandę. Usiadłam na schodach, wysuwając przed siebie nogi. Krople kapąły z dachu i osiadały na stopach. W powietrzu unosił się zapach kory i szyszek.

Obserwowałam wierzchołki drzew, pocierając oczy opuszkami palców. Obraz się rozmywał. Pomarańczowe i czerwone liście traciły wyrazistość, zlewając się w jedną masę. Na ziemię spadała ściana deszczu. Szum zagłuszał myśli. Woda zalewała deski, tworząc kałuże. Oskoczyłam do drzwi.

Chwyciłam szarą gazetę oraz pudełko zapalek. Pojawiła się iskra. Płomienie lizały drewno, dając ciepło. Gdy buchnął ogień, zamknęłam drzwiczki. Ściągnęłam wilgotny sweter i rozłożyłam go przed kominkiem. Usiadłam w bujanym fotelu. Do moich uszu dochodził trzask palącego się polana. Nie mogłam zapanować nad opadającymi powiekami.

Ocknęłam się na ścieżce prowadzącej do lasu. Błoto zmieszane z żywicą i zgniłymi liśćmi oblepiało twarz i włosy. Kleiło się do piersi i zdrętwiałych kończyn. Dźwignęłam się na łokciach. Igły tkwiły w wewnętrznej stronie dłoni.

Po odejściu ojca długo płakałam. Ścisakałam w ramionach pluszowego misia, który przyjmował łzy i sosnowe igły wypływające z moich oczu.

Lampa wisząca na werandzie rzucała blade światło, które nieznacznie przełamowało ciemność nocy. Gałązki wysuwały się ze skóry, a w ich miejsce pojawiały się nowe. Echo niesło moje wrzaski po lesie. Zmierałam w stronę domu, próbując zatamować palcami krwawiące rany. Zostawiałam za sobą ślady stóp i sosnowe igły.

Wdrapałam się po schodach na górę. Gdy pchnęłam drzwi łazienki, zobaczyłam swoje odbicie w lustrze. Obskurna wanna nie budziła odrazy. Odkręciłam kran i włożyłam ręce pod zimny strumień. Zatkałam korkiem odpływ. Zanurzyłam się w żółtej cieczy, która zmywała ze mnie brud. Żywica osiadała na emaliowanych ścianach, a liście unosiły się na powierzchni wody.

Stałam przed lustrem, przyglądając się swoim długim, przypominającym patyki nogom. Odgarnęłam do tyłu jasnobrązowe włosy, a wtedy mokre kosmyki przylgnęły do łopatek. Gdy byłam dzieckiem, moje plecy i biodra zdobiły białe plamy. Znikły w okresie dojrzewania.

Owinęłam dłonie bandażem znalezionym w apteczce na górnej półce. Zakręciło mi się w głowie. Przybliżałam i oddalałam rękę od twarzy, zdając sobie sprawę, że tracę ostrość widzenia.

Wyciągnęłam z torby nalewkę i włożyłam sweter. Podreptałam na werandę, przytrzymując się ściany. Krzesło ugięło się pod moim ciężarem. Oparłam stopy na balustradzie i przechyliłam butelkę. Alkohol rozgrzewał przełyk.

Usłyszałam głuchy odgłos. Wśród krzaków dojrzałam jelenia uderzającego porożem o drzewo. Rozległo się ryczenie. Zwierzę tarło odrostkami o pień, zdzierając korę aż do łyka.

Z oddali dobiegło pohukiwanie sowy. Ojciec twierdził, że krzyk zaniepokojonych ptaków zwiastuje nadejście zmian. Miał rację. Podobne dźwięki słyszałam tego ranka, gdy mnie zostawił.

Jeleń nie przestawał miotać się i ryczeć. Wierzgał kopytami, depcząc mech i rozgrzebując ściółkę.

Bandaże na dłoniach barwiły się na czerwono. Igły rozcinały materiał. Mrowienie rozeszło się po stopach. Wąskie szpilki wysuwały się z więzadeł i przebijały skórę. Uciskały nerwy, wykrzywiając palce.

Wyszarpywałam je paznokciami i rzucałam na podest. Krew tryskała na twarz i sweter wydziergany przez babkę. Wrzeszczałam tak długo, aż opadłam z sił. Ze zdartego gardła wydobywały się już tylko ciche jęki. Ptactwo wzbiło się w powietrze.

Zielonych igieł przybywało. Gdy wyciągnęłam jedną, w jej miejscu wyrastały dwie następne. W końcu igliwie pokrywało całą powierzchnię drewnianych desek.

Kształty zaczęły tracić swoją wyrazistość. Zielone igły przybrały żółtą barwę. Czerwień krwi spływała z moich rąk gęstością czarnej smoły.

Poczułam ukłucie. Gdy dotknęłam włosów, wysuszone kosmyki zaczęły wysuwać się ze skóry wypychane przez sosnowe igły. Ciało piekło, świat wirowało. Zanurzałam się w igliwiu.

Zgiełk ucichł.

Przeczołgałam się przez próg. Zaskrzypiało okno w salonie. Gdy odwróciłam głowę, ujrzałam jelenia. Ocierał porożem o szybę, zostawiając na niej głębokie rysy.

Przytrzymując się balustrady, wdrapałam się na piętro. Pokuśtykałam do pokoju ojca, omijając gałązki rozsypane na podłodze. Sięgnęłam z półki słoik z olejkim eterycznym. Zbliżyłam się do cierpiącego zwierzęcia. Posmarowałam poroże roztworem. Musiał uśmierzć ból, gdyż jeleni przestał ryczeć.

Butelka potoczyła się po salonie. Chwyciłam ją, po czym wzięłam kolejny łyk nalewki. Nabrałam na palce oleistej substancji i wtarłam w rany na stopach. Następnie nałożyłam grubą warstwę na dłonie. Jeleń spuścił wieniec i odszedł.

Alkohol uspokajał, za to olejek nie goił ran. Oparłam się plecami o ścianę, wpatrując w kominek. Zanim zasnęłam, przez brudną szybę dojrzałam niedopalone kawałki drewna.

Ocknęłam się, leżąc na szyszkach. Porosty pokrywały policzki, nos i uszy. Mech obra-
stał grzbiet oraz białe niczym lustro pośladki. Uniosłam głowę i spojrzałam w dal. Intensywne
kolory liści gasły, las przybierał niebieską barwę.

Usłyszałam trzask łamanych gałęzi. Sarna pochyliła się nade mną, wdychając noz-
drzami sosnowy zapach mojego futra. Musnęła językiem pozbawione bandaży cewki. Gest
czułości zaleczył rany.

Zmierzałam w stronę zarośli, zostawiając za sobą ślady racic. Pochyliłam się nad ka-
łużą, by w tafli wody zobaczyć czarne oczy z podłużną, poziomo ustawioną źrenicą.

Podobno liście żółkną, dlatego że umierają. Podobno pohukiwanie sowy zapowiada
rychłe zmiany. Podobno mech rosnący po północnej stronie drzewa jest zielony. Podobno
urodę odziedziczyłam po matce.



PUSTE NOCE

Grzegorz Reiwer

Zapadał zmierzch, kiedy zostawiałem za sobą las, brązowe sosnowe runo spowite w cichy mrok. Część mnie chciała zawrócić, wołały za tym niejasne wrażenia, składające się na rodzaj niepamięci o czymś ważnym, a porzuconym. Wkroczywszy na kośną łąkę, odepchnąłem od siebie te myśli i dałem się oślepić światłu otwartej zimowej przestrzeni.

Przymknąłem powieki, a mroźny haust powietrza wywołał kaszel. Pojawiły się mroczki przed oczami. Krztusiłem się, tonąłem we własnej flegmie, nim wreszcie ją wycharczałem i wyplułem. Ciemna konsystencja plwociny odznaczała się na śniegu jak spróchniała szczerba między zębami. Pozostał po niej gorzki smak i niepokój. Żeby iść dalej musiałem je zdusić. *Za późno na powrót*, uznałem. Otarłszy usta i rozgrzane czoło, rozejrzałem się po okolicy.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żebym wiedział, gdzie jestem i dokąd zmierzam. Nie było to łatwe. Śnieg zakrył łąkę i strumyk, rozpanoszył się na wzgórzach aż po szarzejącą linię horyzontu, zza której pękały pióropusze dymu z sioła. Niezdolne pokonać swojej natury, nie dołączają do nieba. Ogień nie oczyszcza, nie uwalnia dusz. Sadza rozpadnie się i wróci na ziemię.

Pamięć pozwoliła mi odnaleźć ścieżkę w zaspach i iść w przeciwnym kierunku. Lód trzeszczał, kiedy przecinałem strumyk, znak, że załazłem się w ojcowiznie. Po drugiej stronie było jakby cieplej, ale to pewnie nerwy. Poluźniłem szal i ściągnąłem czapkę. Ręce mi drżały, kiedy zauważyłem ceglany murek cmentarza i czarną bramę wiszącą na zerwanych zawiasach.

Skrzydło poluzowanej bramy zaskrzypiało, gdy je odsunąłem. Zbudziło do lotu skrzek ciemnych kształtów. Wrony wzbiły się w szaropapierowe niebo. Kotłowały się nade mną plamki atramentu na ołowianej rzece nieboskłonu jak spopielone grzechy w Gangesie. Jak ja tęskniłem za letnim słońcem, za miejskim tłokiem i ulicą z rzędem kamieni. Jakbym całą wieczność nie czuł na sobie promieni ciepła i rozanielenia.

Wiatr zerwał ze śnieżnej czapy na niskim murze pióropusz i walnął nim w moją twarz, orzeźwiając ostrym chłodem. Tego potrzebowałem. Straciłem wdech, lecz nagle przyszło mi na myśl, że mogę odciągnąć nieuniknione spotkanie z ojcem. Niezapowiedziane wizytowanie zmarłych nie niesie za sobą żadnych konsekwencji.

Szukałem krypty, wpatrując się pod stopy, trochę ze wstydu, trochę ze strachu, że nadepnę na nowe groby. W pamięci miałem zwłaszcza pewne kazanie niedzielne. Ksiądz przypominał, że zmarli czekają na Sąd Ostateczny i nie należy ich niepokoić. Pomny ostrzeżeń unikałem wywoływania upiorów. Matka nauczyła mnie wyplatania wieńców, które strzegły dusze przed zepsuciem, a zarządca pokazał żelazne i drewniane kołki wbijane w trumny. Bez nich mogłem polegać jedynie na własnej ostrożności. Cieszyłem się, że nikt mnie nie widzi. Śmieszność takiego zachowania, gdyby dotarła do ojca, stanowiłaby podstawę do nowych drwin i przytyków.

W oddali zawył wilk. Przyśpieszyłem kroku. Pomimo, że miałem za sobą krótką wędrówkę, od jakiegoś czasu mięśnie rwały zakwasem i skurczami.

Prowadziło mnie piskliwe stłumione skrzypienie metalu, kojarzące się z jękiem lub rysowaniem nożem po tablicy. Potem rytmicznie łupnęło, raz a solidnie. Wiatr, który nosił te dźwięki, na zachętę delikatnie popychał moje plecy.

W lesie mogłem ufać wspomnieniom z dzieciństwa, tymczasem pod moją krótką nieobecność nekropolia się rozrosła o nowych lokatorów. Gdzieniegdzie o mogiłach świadczyły lekkie wybrzuszenia z sinym kamieniem wystającym spod śniegu. Krzyże sklecone były jak z patyków i desek z wydrapanymi inicjałami pochyłały się w swym trudzie, niby zmęczone niewdzięczną służbą. One również czekały na Sąd Ostateczny, ale do niego nie dotrwały.

Wkrótce trafiłem na miejsce, naprzeciw ziejącej wprost z niewielkiego kamiennego budynku wąskiej dziury, prowadzącej w dół. Trzy stopnie dalej kończył się świat żywych. Krata uderzała rytmicznie o kamień – to łupanie przyprawiało moje zęby o ból, więc zablokowałem ją stopą. Zmrużyłem oczy, bo jakiś ruch wewnątrz przyciągnął moją uwagę.

Z początku oślepiony śniegiem nie ujrzałem niczego. Spodziewałem się zwierzęcia i nie chciałem go prowokować do ataku. Zamierzałem się wycofać, ale w moją twarz buchnął gorący odór rozkładu, wtłoczył się w gardło jak wcześniej zimno. Zasłoniłem usta dłonią, czując wzbierające wymioty. Zatoczyłem się, lecz coś chwyciło za moją pierś od środka i szarpnęło głębiej we wnękę krypty.

W środku panowała matowa ciemność. Zdołałem rozróżnić setki wyciągniętych ku mnie czarnych jak smoła dłoni z rozczapierzonymi palcami. Pulsował w nich blady blask, wątpliwy i złudnie dogasający. To, że uległby nawet najsłabszemu podmuchowi zdawało się przeczyć temu, że emanował siłą spoza tego świata. Sparaliżował mnie strach, równie namacalny jak odmrożona kończyna. Od smrodu zrobiło mi się niedobrze. Chciałem oderwać się od makabry, ale wiatr nadal popychał mnie naprzód w czeluść, do wyciągniętych ramion koszmaru.

– Kuzynie? – Usłyszałem kobiecy głos.

Krzyknąłem, upadłszy do tyłu. Nacisk wiatru ustał. Odczołgałem się od krypty i ciągle dysząc, rozejrzałem po cmentarzu. Na niebie kotłowały się wrony, ale poza tym nikogo nie zauważyłem. Wstałem, kątem oka obserwując wejście do rodzinnego grobowca. Wiatr ponownie rozpoczął zabawy z kratą, kłapał nią jak nienazartą paszczą.

Po chwili otrząsnąłem się na tyle, by zrozumieć jak głód i zmęczenie wpłynęły na moją wyobraźnię. Powinienem był odłożyć wizytę na cmentarzu na czas po spotkaniu z ojcem. Wiedziałem jednak, że gdy zajdę na dworek, ojciec zapyta:

– A u matki byłeś?

Żadna odpowiedź by go nie zadowoliła, lecz po twierdzącej ograniczyłby się do milczenia.

Otrzeptałem płaszcz i kucnąłem, żeby podnieść czapkę, ale zatrzymałem się w pół ruchu.

Myśl o dworku otworzyła kolejne wspomnienie.

– Leosia? – zawołałem, rozglądając się ponownie po okolicy. Nie wiedząc, kiedy zmrok objął świat w posiadanie, wystawiając moje nerwy na większy niepokój, podczas gdy nadal znajdowałem się obłądnej atmosfery krypty.

To musiała być ona, pomyślałem i wtedy w śniegu dojrzałem ślady. Podążałem za nimi do momentu, kiedy nagle zniknęły tuż przy murze. Spojrzałem ponad jego krawędź. W oddali biegła ledwo widoczna, niska postać.

– Leosia! Kuzynko! – krzyknąłem zaniepokojony, a do wtóry rozszczeakały się psy we wsi za wzgórzem. Ucichły, kiedy dołączył do nich skowyt wilka, tym razem bliżej, tam, gdzie zniknęła biegnąca postać.

Przełknąłem ślinę.

Przesadziłem mur. Nadal była z niej psotna dziewczyna. Jadąc do domu, miałem nadzieję, że ojciec i jego ponure nastroje nie zniszczyły w niej hartu ducha.

Pewnie jest zła na moją przedłużającą się nieobecność, pomyślałem z rosnącym wstydem. Na tym pustkowiu nie było wiele do roboty. Chłopy we wsi, ksiądz w kościele i zwierzyna w lesie – jak podsumował kiedyś zarządca dworku. Niezbyt atrakcyjna okolica dla dorastającej dziewczyny, pełnej energii i niezmaconej wyobraźni. Ojciec zabronił mi powrotu, dając na przeżycie niewielkie zasoby pieniężne.

Ponownie przekroczyłem strumyk, który w tym miejscu okrążał wzgórze i wił się okolony szuwarami do samej wsi. Ulżyło mi, że zostawiłem za sobą cmentarz. Nadal czułem na sobie czyjeś spojrzenie, ale kiedy się oglądałem, widziałem jedynie mur i ostry kant krypty na tle zgasłego dziennego nieba. Wiatr nadal wybijał dzwoniący rytm, uderzając kratą o kamień. Po długiej, samotnej wędrówce zatęskniłem za ludźmi, nawet za ponurym zarządcą, rozgadaną gosposią, jej córką-idiotką i wiecznie niezadowolonym ojcem. Spotkanie z Leosią zrekompensuje mi ich przykre towarzystwo.

W końcu ujrzałem zarys dębu, blask lamp rozwieszonych na studni w centrum i wkoło obejścia, na które składały się: stodoła, chlew oraz sam dworek z przybudówką. Były na wyciągnięcie ręki, jedynie od czasu do czasu, kiedy znajdowałem się dość blisko, wydawało

się jakby uciekały przed moim wejściem w płamę światła. Biegłem i biegłem, a dom ciągle uciekał.

Zrozpaczony przyśpieszyłem, noc przecież była tuż za mną, a ja opadałem z sił. Kiedy wreszcie się zatrzymałem, oparłem ręce na biodrach oraz pochyliłem się, żeby złapać oddech. Ku mojemu zdziwieniu wkroczyłem w blask lampy przy studni i poczułem ulgę.

Znalazłem się blisko celu, więc ponownie udzielił mi się niepokój, tym razem jednak silniejszy.

Odetchnąłem, próbując uspokoić nerwy i ułożyć w myślach rozmowę z ojcem. W każdej jej wersji padały nieprzyjemne słowa, głównie z jego strony. Gdy odpowiadałem, racjonalnie argumentując, łapał za pas i mierzył mnie przekrwionymi oczyma. Skrzywiłem się, wspominając bicie.

W mojej głowie jego dumną twarz wykrzywiała wściekłość. Zażenowanie. Wreszcie zjadliwy śmiech, gdy pocierał swoją łaskę, nim wielokrotnie nią uderzał. Widziałem tę maskę chorej uciechy, kiedy mnie krzywdził, a moje ręce opadały w końcu od razów, niezdolne mnie osłonić. Były to ramiona słabe, delikatne. Dziecięce. Dostawałem przez twarz, plecy, pośladki i uda. Wtedy przez długi czas leżałem skulony na podłodze. Często z krwawiącą wargą lub nosem, słonym posmakiem krwi i łez, zawstydzony własną słabością. Kiedy podbite oko pulsowało, bałem się je otwierać i dotykać. Podobnie miałem z sercem i dobrym słowem. Odpychałem od siebie mamę czy gospozię, drapiąc ich ramiona i rwąc włosy. Jedynie dotyk Leosi pomagał mi zebrać się do kupy.

– Kuzynie – mówiła delikatnie, kładąc dłoń na moich plecach. Otulała mnie wtedy cichym słowem pociechy, ramionami pachnącymi kwiatną łąką.

A mimo to ją zostawiłem. Nie, nie. Zostawiłem ją, ponieważ ojciec mnie do tego zmusił. Nie miałem wyboru. Zabronił mi wracać.

Zatrzymałem się pełen wątpliwości.

Ojciec miał rację? Byłem tchórzem? Ofiarą?

Pokiwałem głową, pokonany przez akceptację takiego stanu rzeczy.

Powróciłem ze wspomnień akurat, by uniknąć potrącenia przez księdza, który w pośpiechu opuszczał dworek. W ślad za nim wołał kulejący zarządca:

– Proszę księdza, tak się nie godzi. Pustej duszy należy się obrządek zgodny z literą słowa. Nie zostawiajcie dobrodzieju na potępienie...

Ksiądz machnął ręką w stronę dworku:

– Castrum doloris!¹ Samiście się opuścili i zapomnieli w grzechu. Samiście się potępi-
li własnym piekłem za życia.

Minęli mnie, nie zwracając na mnie uwagi lub ignorując z powodu gorejącego sporu.

– Dość już odpuszczałem, wszystko ponad to leży teraz w gestii nieba – odparł ksiądz,
wskazując na dworek. Potem dodał już śpiewnie. – Nędzny człowieku, w doczesnym wieku,
nie wiesz dnia ni godziny, gdy cię do Sądu porwie od ładu śmierć i z małej przyczyny!² –
przerwał. – Za dużo tego! Dość i dość. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Zostańcie z Bogiem.

Obaj coś do siebie mówili, gestykulowali, wymachując rękoma jak w gorączce. Potem
zniknęli w ciemności, z której nadszedłem.

– Halele halele... Gajgajte, chejajte, pekiele.³ – Zza moich pleców rozległ się cichy,
zachrypnięty kobiecy głos. – Paniczu?

W mroku sieni, na granicy światła pękata gospoia rozłożyła ręce wystające z wy-
krochmalonego fartucha. Z początku myślałem, że blokuje wstępu, więc się cofnąłem jakby
w odpowiedzi na jej pierwsze słowa, będące wezwaniem do powrotu do piekła. Przypomniała
mi się krypta i wyciągnięte smoliste dłonie z widmowym światłem, a wtedy zza gospoia wy-
szła inna, wyższa postać, zacisnęła palce na moim przegubie, wciągając w mrok sieni.

Znowu biegłem, lecz tym razem wyprzedzał mnie dziewczęcy śmiech, który niósł się
po korytarzu i mijanych pokojach. Należał do chudej wysokiej dziewczyny, która lawirowała
ze mną po niekończącym się labiryncie, a nie wiejskim dworku. Na przemian robiło mi się
gorąco i zimno.

W tym pędzie czułem piekące podeszwy stóp. Ze ścian odchodził lakier, ze szczelin
buchał ogień i dym o smaku siarki. Słabłem, serce pompowało coraz silniej rzędnącą krew,
tymczasem gardło paliło tak, że nie potrafiłem krzyczeć.

– Córciu, nie! – zawołała za nami kobieta, tym samym zachrypniętym głosem.

Kiedy się wreszcie zatrzymaliśmy, wyrwałem się z uścisku prześladowczyni i cofną-
łem pod ścianę. Nie wiedziałem, dokąd mnie zaprowadzono. Panował zaduch i ciasnota, gdy
deski napierały z sufitu, podłogi, ścian. Zgrzany próbowałem złapać oddech, opierając dłonie
na kolanach. Kiedy wszystko się uspokoiło, przywarłem plecami do stojącego za mną regału,
strącając książki. Jedna z nich spadła obok moich stóp: *Inferno* Dantego.

Ogień i dym zniknęły, zostało jedynie gorąco w moich wnętrznościach, jak w buzuja-
cym piecu.

¹ łac. twierdza bóleści, miejsce smutku.

² śpiew kościelny „Lecą latami”.

³ pieśń pustonocna Halele. Ostatnia linijka odgania złe duchy, aby uciekły do piekła.

Wkrótce dołączyła do mnie i mojej porywaczki zdyszana gosposia.

– Paniczu, ona nie wie – zaczęła tłumaczyć, potem zbesztła swoją pierworodną: – Niedobra dziewczucha.

Córka gosposi skuliła się, opuściła wzrok, ale nadal się uśmiechała. Nie było w jej zapadniętych policzkach, wydatnych ustach i odstających uszach niczego, co przypominałoby, że stała przede mną dojrzała, ponad trzydziestoletnia kobieta.

– Już w porządku – wydyszałem z lekkim uśmiechem, przerywając tyradę gosposi. Nie miałem na nią sił. – Czemu tu tak ciemno i ponuro? Wróciłem.

Matka pogłaskała córkę po głowie, co mnie rozczuliło.

– Ano, wrócił panicz – odparła gosposia. Złapała za fartuch i zaczęła go ugniatać w swoich czerwonych, pulchnych dłoniach. Wyciągnęła różaniec z kieszeni. – Jenó późno i w trudnym czasie. A przecież zostało dużo pracy.

Gosposia zanuciła jakąś strofę, którą pamiętałem z nabożeństw pogrzebowych, gdy byłem chłopcem.

Wymuszony uśmiech znikł z mojej twarzy, gdy zdałem sobie sprawę, że światło wyławia z cienia kształty salonu. Kanapy uprzątnięto, fotele i regały przesunięto w jedno miejsce. Jedynie obrazy wisiały poprawnie, a wielkie lustro odwrócono szkłem do ściany. Druga część pokoju niknęła w ciemności. Firana powiewała w zasłoniętym, lecz otwartym na oścież oknie, mimo to w środku panowała duchota.

Murmurando gosposi przybrało na sile. Monotonny, powtarzalny śpiew sprawiał, że miałem suchość w ustach i w moich skroniach pulsował ostry ból, od którego mrużyłem oczy, przyzwyczajone już do półmroku.

Spojrzałem na drugi kraniec salonu. Na stole pod ścianą stał przekrzywiony krucyfiks pomiędzy zapalonymi świecami, z których воск padał na poczerniały, nadpalony miejscami obrus.

Wielka, podłużna skrzynia nie pasowała do stołu, choć przykrywał ją materiał przypominający obrus. *Kir*, przypomniałem sobie i zrozumiałem, że mam przed sobą katafalk z trumną.

– Gdzie Leosia? – zapytałem, przełknąwszy ślinę.

Gosposia wyszła zza moich pleców i wskazała bez słowa tam, gdzie wbiłem wzrok oblaźły rozpaczą. Łzy nie nadążały.

– Chodź – odsunęła się z krnąbrną córką na bok. Kobieta naśladowała rytmiczną strofę. Obie obserwowały mnie czujnie, chłonąc każdy ruch i pod ich ciężkimi spojrzeniami pociełem się niemiłosiernie.

– Ale jak to? Leosia? – mamrotałem, idąc przed siebie. Oparłem dłonie o wieko i odsunąłem je nagle, bowiem pokrywa parzyła w palce.

Czy jeśli ją uchylę, znajdę w środku śmierć? Zastanawiałem się. I jeśli tak, to czy tylko jej, czy również moją? Pojawiła się jeszcze inna myśl, bardziej złowieszcza: *Jeśli ją skrzywdził, zabiję go, uduszę własnym pasem jak wściekłego psa.*

Oparłem się o krzesło, jedno z trzech rozstawionych przy oknie. Ległem na nim, opierając łokcie na kolanach i zwieszając głowę.

Wtedy ujrzałem siedzący po drugiej stronie katafalku nieruchomy cień.

Odkoczyłem, a wtedy córka gosposi zachichotała, przywracając mi zmysły.

Po chwili zrozumiałem, że twarz postaci i błyszczące białka oczu zasłaniał nie kaptur, a żałobna woalka.

– Paniczu, proszę pożegnać się z ojcem – szepnęła gosposia.

– Z ojcem?

– To trzecia, ostatnia pusta noc.

– Ja... ja nie rozumiem. Czuwaliście z zarządcą?

– Wszyscy, jak przystało. Ksiądz dał egzortę, więc zegnaliśmy pana jak należy.

– To czemu stąd uciekał z nabożnym gniewem? Coś go rozsierdziło. Co zrobił ojciec? Gosposia nie odpowiedziała.

Zdecydowanym ruchem otworzyłem wieko trumny.

Ulga, jaką poczułem była równie wielka, co wcześniejsze nerwy.

W blasku świec woskowata twarz starszego mężczyzny mogła należeć do mojego ojca, ale równie dobrze do kogoś obcego. Powieki miał zamknięte, usta zaciśnięte, poczerwiałe i popękane. Gdyby nie rysy twarzy, odznaczające się w nalanych fałdach, nie wiedziałbym na co i na kogo patrzę.

Rozchyliłem kołnierz i znalazłem pręgę na szyi.

Powiesił się drań, uznałem z lekką satysfakcją. Zamknąłem wieko. Za krucyfiksem znalazłem kilka drewnianych kołków. Bez zastanowienia zabrałem trzy i grzechotałem nimi w dłoni. Jeśli dobrze pamiętałem, matka o nich wspominała. Drewniane nie pozwalają wyjść upiorowi z grobu. Metalowe zatrzymują w nim zmarłego, nie usłyszysz trąb anielskich obwieszczających dzień Sądu Ostatecznego. Chuchnąłem w dłoń i rzuciłem kołkami jak kośćmi do gry. Wpadły na trumnę i zatrzymały się, a chociaż nie było na nich liczb, wiedziałem, że wypadły szóstki i właśnie rozbiłem bank.

– Ojczy – powiedziałem. I trochę ciszej dodałem z uśmiechem: – Najwyraźniej jednak nie zdołasz mi odmówić pieniędzy.

Żadna z rozmów, jakie tworzyłem w swojej głowie nie kończyła się w ten sposób. Ba, nie zaczynały się nagłym odejściem ojca. Był istotą wieczną, niepokonanym żywiołem przemocy, teraz jednak złamanym, wyżętym z życia przez śmierć jak szmata z wilgoci. Być może moja radość była naganna, lecz nie potrafiłem przywołać smutku i żalu, jak wcześniej sztucznego uśmiechu. Widocznie odpowiadały za to głębsze pokłady psychiki, zdruzgotane przez potwora, którego truchło gniło w trumnie.

Ponad trumną wpatrzyłem się w siedzącą kobiecą sylwetkę.

– Leosiu – powiedziałem z coraz szerszym uśmiechem. – Wreszcie wszystko się ułoży.

Obszedłem trumnę i złapałem za jej chłodną dłoń. Wątła, blada, leżała, jak spadły z nieba ptak. Drugą przyciskała do trumny. *Wyssał z niej dużo życia*, przyznałem zdruzgotany jej apatią. *Cóż on ci uczynił, kuzynko?*

– Wyjedziemy. Sprzedamy co się da i wyjedziemy – szeptałem, przyciskając popękane z zimna wargi do jej drżących palców.

Nie powiedziała niczego, ale moje słowa musiały do niej trafić. Chciałem ją objąć, ponownie zapewnić, że wszystko się ułoży. Bo tak w rzeczywistości będzie. W myślach już rozświeciły się wizje swobody finansowej, udźwignięcia długów w mieście i spożytkowani braku kontroli ojcowskiej tyranii na powrót na studia. Założenie własnej firmy. Kupienie udziałów w jednej z tych zamorskich spółek, które są tak modne ostatnimi czasy.

Podszedłem do gosposi.

– Czemu on tu jeszcze leży? Cmentarz niedaleko. Gdzie zarządca? Niech zaprzęgnie wóz.

– Paniczu, tak nie można. To ostatnia pusta noc.

– Co?

– Czuwamy, żeby duszy świętej pamięci pana dobrodzieja nie opanowały upiory. – Wyciągnęła coś z fartucha i skierowała w moją stronę. Kartki papieru. – Pani wiedziała jak się sprawy mają i nie pozwoliłaby, żeby panicz tak się obchodził z rytuałem. Trzeba się przeżegnać przed trumną i uderzyć w nią czapką – czytała. Potem zwróciła się do swojej córki: – Kochana rozłóż noże na progu i oknie.

Ta chyba jednak nie rozumiała, ponieważ utkwiała wzrok w podłodze. Przeskakiwała z nogi na nogę w rytm mruczanych strof. Ignorowała wszystko, w tym gospoś, która mówiła dalej: – A trumnę wyniesiecie, uderzywszy nią w próg trzy razy. Stopami przodem, żeby umarły nie wrócił do domu...

– A o samobójcach też piszą, że trzeba ich wynosić oknem lub przez dziurę wykopaną pod progiem? – przerwałem niecierpliwie, przypomniawszy sobie te same informacje wtłaczane przez matkę. – Zabobony. Gdzie zarządca? – powtórzyłem pytanie, patrząc za okno. Matka wygarnęłaby mu za takie niedopatrzenie obrządku. Teraz jednak nie miało to znaczenia. – Czemu laź za księdzem? O co poszło?

– Ano, bo ksiądz dobrodziej nie dał zgody.

– Na co nie dał?

– Na pochówek w świętej ziemi.

– Ale jak to? Panu dworu odmówił? – Złapałem ją za ramiona i potrząsnąłem. Córka ruszyła matce na pomoc, próbując mnie odciągnąć, ale wcześniejsza siła, z jaką pociągnęła mnie w głąb domu, gdzieś zniknęła.

– Panicz nie wie, ale to tragedia była. Nic, tylko tragedia. Ksiądz pójdzie po rozum do głowy, zarządca mu wytłumaczy, co i jak.

– Co mu wytłumaczy?

– Pan był dobrym człowiekiem.

– Był skurwysynem – warknąłem, zauważywszy uchylone okno oraz leżący za nim śnieg.

Poluzowałem kołnierz, zaschło mi w gardle. Czemu w salonie było tak gorąco?

Gospościa zasłoniła otwarte w szoku usta.

Na zewnątrz rozległy się krzyki.

Wybiegłem na podwórze. W ślad za mną ruszyła poruszona gospościa z córką.

Niczego nie ujrzałem, a wtedy coś pojawiło się na granicy światła.

Ksiądz. Leżał nieruchomo w śniegu, nad nim ślepia wilka jarzące się głodem i dziką nienawiścią. Zobaczywszy nas, zwierzę szarpnął za ciało i pociągnął klechę w ciemność.

– Ejże – zawołałem, ale nie postąpiłem kroku, gdy za parą gorejących ślepi ukazały się kolejne, jak gwiazdy na nocnym niebie.

Złapałem za lampę, chcąc ruszyć śladem wilków i odstraszyć je od księdza. Może jeszcze żył, a jedynie zemdłał. Nie krzyczał, być może z szoku, gdy szarpały go wilki albo uderzył się w głowę, albo... Zatrzymałem się przy studni, wilki zniknęły ze swoją zdobyczą. Za to nad sobą usłyszałem skrzypienie liny ocierającej się o gałąź.

Zadarłem głowę.

Pod największą z gałęzi dębu wisiał zarządca. Krzyknąłem, gdy coś wilgotnego spadło na mój policzek. Wycofałem się, zerkając to na wisielca, to na ślepia wilków.

– Oni nie żyją – wymamrotałem akurat, gdy minąłem studnię.

Oparłem dłonie o wajchę z liną.

– Gosposiu, oni nie żyją – powtórzyłem. Odwracając się, ujrzałem puste obejście. Gosposia z córką zniknęły.

Za to ze studni echo przyniosło dźwięk pluśnięcia i lina z wiadrem naciągnęła się, szarpana przez coś w dole.

Potem był śmiech córki gosposi, tym razem o wiele bardziej obłąkańczy.

Przechyliłem się przez murek studni i posiłkując się blaskiem lampy, ujrzałem obwiązane drutem głowy i splątane jak pomalowana smołą rzeźba kończyny. Puste oczodoły śledziły malujące się na mojej twarzy przerażenie.

Jedna z rąk trzymała zlepione kartki i różaniec.

Jedna z głów otworzyła usta, z których wyskoczył czarny jak gejzer oleisty płyn.

Odkoczyłem, upuszczając do studni lampę. Ogień najpierw zgasł, a potem noc rozjaśnił wybuch. Kilka zapalonych kropel wystrzeliło kilkaset metrów w górę i upadło na stodołę, chlew i dach dworu. Ogień rozprzestrzenił się szybko i obejście zmieniło się w półkolistą ścianę ognia. Nawet korona drzewa z wisielcem stanęła w płomieniach, wydęła się jak żagiel tonącego podczas bitwy statku.

– Kuzynko! – krzyknąłem, rzuciwszy się w stronę dworku.

Wpadłem do salonu i złapałem Leosię za rękę. Wstała posłusznie, ale kiedy próbowałem ją odciągnąć od trumny, nie uszła dalej niż na krok. Cofnąłem się, żeby do niej przemówić, uspokoić, lecz wtedy dojrzałem, że jej druga ręka wyciągała się w stronę trumny. Z nadgarstka odchodziła długa, gruba lina.

– Kajdany? Czemu?

Drugi koniec łączył się z wiekiem.

Ponownie otworzyłem trumnę i złapałem za przegub ojca, znajdując takie same kajdany.

Spojrzałem na Leosię. W blasku szalejącego na zewnątrz ognia ujrzałem obrączkę.

– Kuzynko, co on ci zrobił? – poczułem w sercu żar większy niż ten, który trawił obejście.

Uderzyłem z całych sił w pierś ojca.

– Potwór. Skurwysyn. Piekło to za mało na takiego diabła jak ty – krzychałem i szarpałem go za ubranie. Szwy pękały, ukazując bruzdy na siniejącym ciele.

Ciągle dysząc, rozejrzałem się po salonie. Nie znalazłem w zasięgu wzroku niczego przydatnego. Tymczasem w pozostałej części domostwa ogień rozszalał się na dobre.

Gdyby nie napad szalu, zdołałbym znaleźć coś w kuchni czy drewni. W desperacji przypadłem do lustra, zrzuciłem je z trzaskiem na ziemię. Klęknąłem, żeby odnaleźć najostrejszy odłamek. Zatrzymało mnie odbicie. Obce, podkrążone i zapadnięte oczy. Nalana, obwisła twarz...

– Nie – krzyknąłem – Skurwysynie! – Biłem pięściami w popękane szkło jak wcześniej w trupa ojca. Odbicie nie mogło należeć do mnie. *Tak*, nerwowo zachichotałem, *to było odbicie ojca, nie moje*. Wyrwałem jeden z odłamków i podszedłem z nim do Leosi. Cofnęła się z piskiem.

– Nie bój się, to ja. Nie on – zapewniłem ją, choć w jej uniku ujrzałem dawnego siebie. *Co on ci zrobił?* Zapytałem siebie w duchu, wiedząc, że doskonale znałem odpowiedź na to pytanie.

Szarpałem odłamkiem lustra za linę, lecz była mocna i gruba, a moje dłonie coraz bardziej poranione. Krew kapłała na podłogę, skwierczała na deskach. Kaszlałem, bo dym stał się gęstszy.

W końcu odrzuciłem odłamek i złapałem twarz rękoma, przeskakując wzrokiem między wyjściem a Leosią.

– Nie, nie porzucę cię więcej – powiedziałem i otworzyłem trumnę. Z trudem wyrwałem bezwładnego trupa ojca, zarzuciłem go sobie na plecy. Od jego zimnego policzka przylegającego do mojej szyi robiło mi się niedobrze i jedynie siłą woli zmusiłem się do marszu. Z otwartych ust umrzyka pociekł mi za kołnierz jakiś lepki płyn.

Akurat, gdy wyszliśmy na zewnątrz, zawalił się za nami dach.

Konie uciekły, a w oddali wyły wilki.

Zataczając się w śniegu, szedłem powoli do wsi. Wołałem. Ktoś pewnie zauważył ogień, ale czy zdoła dotrzeć na czas? Wycie się zbliżało. Ze studni i w górę drzewa prowadził czarny ślad upstrzony zepsutą zielenią. W koronie drzew słyszałem trzaski kości, rwanie mięsa i ponure mlaskanie.

Odszedłem od tego wszystkiego i po raz trzeci tego dnia przekroczyłem strumień. Milcząca Leosia szła za mną. Ciężar ciała ojca wyduszał ze mnie ostatni oddech. Zapadałem się w śniegu.

Jeden z wilków szarpnął za nogawkę, odkopałem go. Na szczęście Leosia nie została zaatakowana.

– Tędy. – Poprowadziłem ją przez bramę cmentarza. Miałem nadzieję, że wilki za nami nie podążą, gdy zatrzasnę bramę. Nieopodal śledziły nas ślepia.

Przecięliśmy cmentarz. Nie zważałem, czy chodzę po grobach, ale kiedy szedłem, od czasu do czasu utykałem w zaspach, a wtedy wiatr niósł westchnienia pełne oskarżeń.

– Zostawił ją.

– Nie wrócił.

– Piękna i młoda.

– Taka śliczna!

– Lubił takie – dodał zachrypnięty głos gosposi. – Moja córka mu nie wystarczyła.

Oskarżeniom nie było końca.

Podążało za nami coś mrocznego. Wiło się w napierającym na zmysły mroku. Trup na moich plecach rozłaził się i kleił. Po drodze odpadały z niego połacie mięsa.

Krypta stała otworem.

Panował w niej spokój. Normalność, której brakowało światu poza murami cmentarza.

– Poczekaj tu na mnie, kuzynko. Będiesz tam bezpieczna. Wezwę pomoc.

Wprowadziłem Leosię do krypty. Trupa ojca zrzuciłem, ale jego ciężar odbił się na mojej kondycji i kuśtykałem bardziej niż szedłem.

Wołałem, zdzierając sobie gardło. Ktoś we wsi musiał ujrzyć pożogę. Wspiąłem się na murek i widziałem zapalone w oknach światła, ale żadnego ruchu. Zaś dwór zmienił się w wielką łunę ognia. Jakieś kształty wznosiły się i opadały wokół niej w szalonym tańcu. Gwiazdy zmatowiały, czerń nieba nabrała niezdrowej smolistej barwy, jakby mogła wchłonąć wszystko, łącznie z moim wzrokiem, więc oderwałem spojrzenie, żeby zeskoczyć z murku. Spuściłem nogę. Poniżej warknął wilk i poczułem na łydce zaciśnięcie szczęki.

Krzyknąłem, czując jak pękają mięśnie i ścięgna. Kopnąłem wilka, ponownie przesadziłem mur i z jękiem spadłem na czyjś grób.

Wróciłem do krypty, kulejąc.

– Leosiu – szeptałem w mrok.

Zawiodłem, to chciałem jej powiedzieć. I dodać, że już jej nie opuszczę.

Tej nocy pochowam ojca i nas oboje, dodałem w myślach, które zwolniły ze zmęczenia i bólu.

W krypcie znalazłem tylko ciało ojca. Wziąłem do ręki jego pas, z którym nigdy się nie rozstawał. Z kraty ściągnąłem puste kajdany, drugi koniec niknął w krypcie.

– Kuzynko! – krzyknąłem do wnętrza grobowca.

Odpowiedział mi mlask.

Zamiast Leosi ujrzałem głębszy niż wcześniej matowy, oleisty mrok. Podobne do macek długie ramiona, zakończone dłońmi i palcami z ognikami bladego światła wyciągnęły się ku mnie i nagle zrozumiałem, że tym razem nie zdołam przed nimi uciec.

– Nie – zacisnąłem szczękę. – Nie!

Wtedy jedna z macek zacisnęła się na trupie ojca, zaskwierczało mięso i poczułem swąd siarki.

Ojciec został wciągnięty, lina się naciągnęła. Ze zgrozą poczułem szarpnięcie za nadgarstek, na którym zamknęły się kajdany. Wolną ręką zaczepiłem pas ojca o kratę. Walczyłem z siłą wciągającą mnie do koszmaru krypty i własnym ciałem, które już się poddało, jedynie strach utrzymywał wszystko w ostatnim bastionie oporu.

Pas ojca pękł.

Upadłem.

Uderzyłem się w głowę i straciłem świadomość.

Wtedy gwiazdy odzyskały na chwilę swój naturalny blask.

I przemówiły po raz ostatni w wąskim wyjściu z krypty.

Opowiedziały mi...

... jak Leosia stała się dla mnie kimś więcej i byłem szczęśliwy. Ojciec to zauważył, wykorzystał, żeby mnie złamać. Odesłał do miasta. Tam zapomniałem, chciałem zapomnieć, że przecież wiem. Wziął ją za żonę. Piłem, dusiłem w sobie żal i gniew. I wreszcie nie miałem czego dusić, bo wszystko we mnie zgniło.

Wróciłem do domu.

Zakradłem się nocą do sypialni i pasem, którym mnie bił udusiłem go, gdy spał. Zbudziła się leżąca obok Leosia. Szarpała mnie i oskarżała: *Morderca, morderca!* Chciałem ją uciszyć, powiedzieć, że wszystko się ułoży, lecz wtedy wpadliśmy na lampę i pokój zajął się ogniem. Chciałem ją wynieść, a ona uczepiła się ciała ojca. W końcu wziąłem go na plecy i wtedy ruszyliśmy do wyjścia. Wszędzie ogień, ciągle gorąco.

Paliliśmy się.

Z pokoju Hanny wybiegł zarządca, a gdy Cecylia go zobaczyła, dźgnęła go i ten legł przy studni. Hanna zawyla z rozpacz, rzuciła się w ślad za nim do studni, popychając matkę.

Obserwowałem nadciągających chłopów.

Chciałem objąć Leosię, ale ta płakała nad ojcem.

– Zostaw, to potwór. Już cię nie skrzywdzi.

Tknęło mnie, gdy spojrzała na mnie ze strachem. Takim, którym darzyłem ojca.

Zasłoniła się rękoma, bo nadal trzymałem pas.

Uciekłem.

Przez strumyk.

Przez mur.

Na cmentarzu zerwałem łańcuch krypty.

I tam nad grobem matki powiesiłem się za pomocą pasa ojca. Kiedy życie we mnie gasło, cienie stały się dłuższe, mrok potężniejszy. Spokój, cisza, gdy krew przestawała pulsować w ciele... Przypominało sen po długiej wędrówce.

Potem biło w oczy światło.

Prawie jakbym wyszedł z lasu, w którym zapadał zmierzch. Zostawiłem za sobą mrok i ciszę. Zwiastowały one nadejście nocy, porę wrogą dla zmysłów i rozumu.

Opuszczenie go przypominało ucieczkę w wybawienie. Wiedziałem już, gdzie jestem i dokąd zmierzam.

Szedłem do domu.



SZAFA

Narcyz Florent

Przyjechałem do mojej babci. Tak jak mnie prosiła. Jako kobieta w podeszłym już wieku zatęskniła za młodością. Zatęskniła za swobodnymi ruchami ciała, jego giętkością, urodą i seksualnością. Ta tęsknota była po niej widoczna. I też bardzo prawdopodobne, że to właśnie ta tęsknota zmusiła ją do wybrania się razem z moim dziadkiem w daleką podróż na wakacje. Jednak napotkali pewien problem. Chorowita matka mojej babci zapadła na niecodzienną chorobę. Otóż dziewięćdziesięcioletnia kobieta spała codziennie po dwadzieścia godzin. Lekarze, którzy przyjeżdżali ją badać, podejrzewali, że jest to jakiś rodzaj nietypowej śpiączki, ale sami pewności nie mieli. Przepisali leki i nakazali obserwację pacjentki. Każdego dnia moja babcia musiała się nią opiekować. Gdyby nie moja zgoda i chęć pomocy, musiałaby się pogodzić z niemożnością wyjazdu za granicę.

Od tamtego dnia przez cały następny tydzień miałem mieszkać w domu moich dziadków, sprawować nad nim pieczę. Sam. Jedyne człowiek, który przez ten czas miałby mi towarzyszyć to prababcia, która i tak przypominała w swoim wielkim łóżku żywego trupa. Ona i parę kur. Dziadkowie takie posiadali.

Po wejściu do domu postanowiłem, że odwiedzę schorowaną staruszkę. Jej pokój znajdował się na parterze. Zaraz po wyjściu z chłodnego przedsionka, na wprost mnie zobaczyłem białe drzwi z niewyraźną, grubą szybą pośrodku. Oddzielały one dwa światy. Jeden związany z wczesnodwudziestowiecznym wystrojem mieszkań. Drugi – z nowoczesnością przeplatana modą peerelowską. Po przekroczeniu progu poczułem zapach martwej przeszłości.

Przeszedłem przez małe przedpokój z lustrem, stolikiem i wieszakami, przez większą już trochę kuchnię z lodówką, do której bez zastanowienia mógłbym zwracać się per pani i posunąłem olbrzymie, drewniane drzwi pomalowane grubą warstwą białej farby. Pojawiłem się w sypialni prababki.

Pomarszczone, kościste ciało leżało na plecach bez ruchu na łożu małżeńskim. Jego odór jak intruz zabijał zapach starodawności. Przypominał o bezsensownym życiu i zbliżającej się rychło śmierci. Za mną znajdowało się lustro, w którym widziałem swoją sylwetkę. Młody chłopak, kipiący siłą i seksapilem, ubrany według najnowszej mody, pięknie pachnący z marzeniami, zmartwieniami oraz całą przyszłością przed sobą stoi przed łożem ze szczątkami człowieka. Nad nami wisiał obraz dzieciątka Jezus trzymanego czule przez Marię i zabawianego przez Józefa.

Zwłoki płytko oddychały. Ich zamknięte zniszczonymi, cienkimi powiekami oczy błędziły nerwowo we wszystkie strony. *Czego szukasz, prababciu? Jestem już przy tobie. Proszę, nie bój się.*

Sprawdziłem dłonią jej temperaturę ciała. Czoło było letnie, więc nic nie wskazywało na to, aby doskwierała jej gorączka. Babcia mi wspominała, że nie muszę jej dzisiaj karmić. Dostała jeść tym dziwnym urządzeniem stojącym obok łóżka, zanim dziadkowie wyjechali.

Odprawiłem przy niej rutynę podobną do tej, którą prababcia z kolei odprawiała mnie, kiedy byłem mały. Musiałem upewnić się, czy nie należy wymienić jej pieluchy, czy nie w buzi nie ma, czy na pewno jest cała przykryta kołdrą, i czy zamiast swoich zabawek ma tabletki na szafce nocnej obok. Wszystko wskazywało na to, że nie ma żadnych komplikacji. Jednak zanim wyszedłem z pokoju, i w ogóle z mieszkania, nachyliłem się nad nią. Nad tą pomarszczoną, zwiędłą, gnijącą i ropiejącą twarzą, gdzie obrzydliwe szczegóły czaszki

ludzkiej były widoczne. I powiedziałem, dopełniając rutynę: „Nie bój się, prababciu, tej szafy. W niej nic nie żyje”. Nie odpowiedziała.

Wyszedłem i skierowałem się na piętro. Drewniane schody, po których wchodziłem, wydawały mi się klaustrofobiczne. Zdziwiłem się, gdyż zazwyczaj kojarzyłem je jako szerokie i bardziej pojemne. A jednak teraz, gdy zmierzałem stopień po stopniu w górę, czułem w sobie niepokój, który prawdopodobnie od tych schodów emanował. Jakby każdy fragment, każda część drewnianej deski otaczała moje serce swoimi ostrzeżeniami o nieznanym i zakazanym. Każdy krok zbliżał mnie do drzwi prowadzących na strych. Mój umysł skupił się jedynie na nich, zawęził swoje myślenie jedynie do nich i do tego, co się za nimi znajduje. Czy ja powinienem się tym również opiekować?

Gdy kurcząca się klatka schodowa z każdą następną sekundą zamykała mnie w sobie, błądziłem po najmroczniejszych zakątkach moich wspomnień. Wspomnień, które zostawiały niepokojące pytania. Jedno z nich dotyczyło szafy znajdującej się na strychu. To ona powodowała we mnie niepokój. Wchodziłem niegdyś, jako dziecko, za babcią na poddasze, aby pomóc jej w rozwieszaniu prania. Ta część domu była najbardziej chaotyczna i najbardziej klaustrofobiczna. Betonowe stopnie prowadziły na platformę umieszczoną zaraz pod dachem. Na niej właśnie stały suszarka z rozwieszonym praniem, jakieś konfitury w słoikach lub inne rupiecie. Lecz na środku, gdzie dorosły człowiek mógłby swobodnie stanąć, znajdowała się drewniana Szafa. Jakość wykonania i materiał z drewna hebanowego wskazywały na egzotyczne pochodzenie mebla. Moja rodzina nie była zamożna, więc Szafa kontrastowała z resztą wnętrza.

Już jako dziecko bałem się jej. Potężna, niewzruszona stała prawie na środku strychu, zamknięta na żelazną kłódkę. Sprawiała wrażenie, że coś w niej się znajduje. I mówiąc „coś”, nie mam na myśli rzeczy materialnych. Często pytałem się babci, co w niej jest, ale ona poważniejąc, odpowiadała, że tylko stare ubrania i antyki, które powinny dawno temu zarosnąć pleśnią. Nie wierzyłem jej. Sama nigdy nie otwierała Szafy przy mnie, ani nie pozwalała, abym próbował do tego osobliwego mebla zajrzeć. Parę razy, mimo wszystko, starałem się ją otworzyć, gdy miałem okazję zostać sam. Niestety na próżno. Kłódka trzymała uparcie i nie zamierzała puścić. Nie oznacza to, że nie była otwierana.

Babcia starała się jak najrzadziej wchodzić na strych, kiedy byłem u niej w domu. Starała się ignorować fakt istnienia czegoś niewyjaśnionego pod dachem. Zapomnieć o tym. Ale czasami działały się rzeczy nad wyraz niepokojące, które zmuszały staruszkę do odwiedzenia poddasza. Zazwyczaj w takich sytuacjach dało się słyszeć głębokie, niewyraźne i dudniące dźwięki dochodzące ze strychu. Babcia z udawanym spokojem oznajmiała, że to

rury budynku skrzypią od zimna i od wiatru, a ona musi sprawdzić na poddaszu, czy coś nie przecieka. Jednak zauważałem w jej oczach przerażenie, gdy mnie opuszczała na krótkie momenty.

Teraz zostawiła mnie całkiem samego z niezwykle tajemnicą. Nawet nie wspomniała o Szafie. Nie zakazała zajrzenia do niej, nie nakazała trzymania się z daleka od strychu. Zupełnie nic.

Dreszcze, które często odczuwałem, gdy wchodziłem na poddasze, dały mi się we znaki od razu, gdy wszedłem na piętro. Poczułem uczucie, które doradzało mi, abym zawrócił i nie wchodził do tej części budynku. Zignorowałem je. Sam korytarz, w którym stałem i który łączył ze sobą kuchnię, salon, sypialnię i wejście na strych, ział nienaturalną pustką. Zegar powieszony na drewnianej ścianie zaraz obok zapisanego kalendarza tykał. Potęgował uczucie pustki, uczucia braku pewnego elementu, który powinien istnieć, lecz którego nie ma. Cisza zdawała się narastać wraz z każdym tyknięciem. Zwiększać swoją formą i topić mnie w niej. Starłem się to zignorować.

Wpierw postanowiłem zajrzeć na strych. Grube drzwi prowadzące do niego zostały otwarte i z ciężkim stęknieniem musiałem je zamknąć, aby nie czynić przeciągu, gdy przekroczyłem próg. Zapaliłem jasnopomarańczowe światło, tworzące głębokie cienie pod betonowymi schodami i na skrajach podestu, do którego te schody prowadziły. Wspiąłem się nimi i moim oczom ukazał się widok dokładnie taki, jaki zapamiętałem: słoiki ustawione w stosy, brudne dywany na podłodze, zardzewiałe narzędzia ustawione po kątach i lśniąca Szafa pośrodku. Wszystko to śmiało rzucało cienie pod siebie, kontrastujące z mocno żarzącą żarówką.

Już w tamtej chwili czułem niewyobrażalny strach. Szafa zdawała się przytłaczać swoją nienaturalną wielkością rzeczy mniejsze i najmniejsze. Czułem się, jakby Zło pogniewało się na mnie, postanowiło mnie ukarać, unicestwić.

Gdy na kuckach podszedłem do Szafy, zobaczyłem, że kłódka nadal chroni stare sekrety. Szarpałem za uchwyty, próbowałem kłódkę rozwalić leżącym obok młotkiem, ale wszystko na nic. Tylko fałszywa cisza bywała przerywana przez moje stęknienia, wydechy, dźwięki uderzającego młotka. Zrezygnowany opuściłem strych. Lecz właśnie wtedy poczułem na plecach dotyk miliona niewyobrażalnie małych robaków spływających w dół do krzyża. Złapałem się wtedy za szyję, czując gęsią skórę.

Przez następne dni szukałem klucza do kłódki. Co do milimetra przeszukałem całe mieszkanie dziadków wraz z szafkami, komodami, półkami. Nie znalazłem nic poza paroma

starymi albumami ze zdjęciami, przepisami na ciasta, prezerwatywami lub pośliskowymi książkami i przestarzałymi ubraniami.

Nie opuszczałem domu. Świat za oknem wydawał się ponury i samotny. Nie zauważyłem przez ten czas żadnego żywego człowieka, który chociażby przechodził po drodze przed domem. Jedyne oblicza, jakie widziałem, to czasem swoje w łazienkowych starych lustrach, a czasem rozwarstwiające się i cuchnące oblicze półmartwej prababci. Przez ten cały czas towarzyszyło mi uczucie niepewności oraz bycia obserwowanym. Narastały one na klatce schodowej i czasem się nasilały, tworząc skrajne apogeum paranoi.

Nie potrafię opisać tych uczuć. Było to swoistym paradoksem, gdy w samotności, podając przez rury papkę jedzenia dla prababci – która ani razu nie otworzyła swoich oczu – z nagłym impetem poczułem wzrok znikąd przeszywający moje wnętrze i moją duszę na wskroś. Wzrok nieludzki, niewytłumaczalny, niewyobrażalny.

Nocami nie potrafiłem spać. Nadal czułem się obserwowany, a gdy zasnąłem snem bez marzeń, budziłem się ze stuprocentową pewnością, że ktoś stoi na progu mego łóżka. Zawsze przez pierwsze sekundy byłem przekonany, że widzę niewyraźną sylwetkę w ciemności gapiącą się wprost na mnie, lecz okazywało się, że takowej nie było.

Przedostatniego dnia mojego pobytu wydarzyło się coś, co dotąd mnie zastanawia. Pielęgnując trupie ciało matki mojej babci, usłyszałem przesadnie niski, cichy, ale groteskowo donośny szept. Spływał on od sufitu w dół przez zeszkobaną w niektórych miejscach tapetę. Przerwałem wtedy moje czynności pielęgnacji zgniłego mięsa, ponieważ chciałem przysłuchać się słowom. Niestety, nie rozpoznałem żadnego. Kątem oka zauważyłem, że oczy wiecznie śpiącego umarłego otworzyły się nienaturalnie szeroko. Tak, że całe zarysy gałek ocznych były aż nazbyt widoczne i sprawiały wrażenie, że zaraz wypadną z oczodołów. Twarz żywego trupa wykrzywiła się w grymasie przerażonego krzyku i desperackiego płaczu. Sine usta wyszeptały cichym krzykiem: „Za lustrem. Cierpienie mnie czeka”. Staruszka wyzionęła ducha.

Okazało się, że za lustrem w sypialni prababci znajdował się mały, srebrny kluczyk. Emocje, które przez cały ten czas mi towarzyszyły, osiągnęły punkt szczytowy. Wyrwałem się biegiem z pokoju staruszki. Miałem wrażenie, że coś się na mnie gniewa. Że zamierza mnie dopaść i właśnie przed tym uciekam. Słyszałem w mojej głowie ten nienaturalnie głęboki i niewyraźny szept, mimo że wokół panowała grobowa cisza. W impecie otworzyłem drzwi na strych i wszedłem po betonowych schodach na platformę, potykając się przy tym. Jasnopomarańczowe światło znacząco wtedy zbladło. Panował gęsty mrok, który swoimi

mackami zdawał się lizać jedyne, skromne i słabe źródła światła powieszone idealnie nad Szafą. Szept stał się głośniejszy i jeszcze głębszy.

Srebrnym kluczykiem odblokowałem kłódkę, która zamykała szczelnie Szafę. Zasuwa upadła z tępym odgłosem. Spokojnymi dłońmi otworzyłem drzwi.

Spojrzały na mnie kolosalnie olbrzymie gałki oczne, które przekrwione wyglądały zza wydrążonych otworów w tylnej ścianie Szafy. Pulsujące mięso je otaczało i wylewało się jak smoła z tych dziur, a coś, co powinno być paszczą, było jedynie dwoma zgniłymi i robaczywymi kupami krwistego cielska. Zaczęło mlaskać na mój widok. Gałki oczne spontanicznie i intensywnie z przerażającą prędkością mrugały i błędziły wzrokiem tam, gdzie potrafiły. Nagle śmiech szyderczy zaistniał. Spojrzałem w jego kierunku i ujrzałem oderwaną głowę mojej prababci, która leżała w Szafie pod dziurami tylnej ściany. W grymasie przeraźliwego krzyku i desperackiego płaczu łeb ten się śmiał.

Taki obraz zapamiętałem, zanim przebudziłem się na strychu, będąc ślepym oraz głuchym. Leżałem podobno przed Szafą zamkniętą ponownie na kłódkę.

Od tej pory obserwowało mnie Ono przez całe moje życie.



YGGDRASSIL

Michał "Sup" Nycz

Ujrzałem to wśród wichru i śniegu. Zarys ogromnej góry, której szczyt skryty był bardzo wysoko, poza zasięgiem wzroku człowieka. Zbliżyłem się do niej na tyle, aby stanąć u jej stóp, kiedy zauważyłem, że śnieg ustał, wiatr przestał wiać. Zadarłem głowę wyżej, by

dostrzec wbijające się w zbocze przepastne, gargantuiczne korzenie ciągnące się ku niebu. Wtedy dopiero rozstąpiło się przede mną niebo i ujrzałem je. Wielkie, szerokie drzewo, bijące ciepłym światłem. Jego gałęzie wbijały się w kosmiczną przestrzeń, ciągnąc się na wszystkie strony.

Yggdrassil

Zerwałem się ze snu. Zapaliłem lampę wiszącą nad moim posłaniem i rozejrzałem się wkoło. Namiot wyglądał identycznie, jak poprzedniego dnia, kiedy zasypiałem. Odetchnąłem z ulgą, przetarłem twarz dłońmi i zacząłem wstawać i ogarniać śpiwór.

Gdy się ubrałem, z kubkiem gorącej kawy w dłoni raz jeszcze przejrzałem notatki, które spisałem po tym dziwnym dniu.

Jako specjalista od kultur nordyckich od razu zostałem wezwany przez dziekana. Roztrzęsiony, z pomieszаныmi zmysłami, profesor Carl Jarmunson, wybitny specjalista, wielokrotny gość naszego uniwersytetu, mówił niekontrolowanie, wypływając ciąg słów. Miał wrócić z grantu partnerskiego z naszym uniwersytetem i prowadzić dalsze badania po wizycie w Norwegii, ale... Coś było nie tak.

Wielokrotnie powtarzał te same słowa: "Mara. Drzewo. Galdhopiggen".

Notowałem uważnie. Galdhopiggen jest najwyższą górą norweską, którą profesor miał odwiedzić hobbystycznie, wyrывая się na chwilę z objęć badań. Coś jednak musiało się wydarzyć w trakcie wspinaczki. Nie widziałem nigdy człowieka, który byłby w takim obłądnie. Co chwilę przełykał ciężko ślinę, zaczynał szlochać, jego oczy były przekrwione i podkrążone. Wyglądał jak wrak człowieka.

Co więc tam ujrzał? Z tym właśnie wysłano mnie do Norwegii. Odsłoniłem fragment materiału u wejścia, aby daleko przede mną ujrzeć zarys góry. Było słonecznie, ale chłodno, śnieg już leżał w Norwegii. Wszyscy ludzie w obozie składali już namioty, sprząтали po sobie i zabierali sprzęt. Wróciłem do wnętrza. Ubrałem się ciepło, upewniając się, że każdy możliwy element ciała jest zakryty. Sprawdziłem jeszcze drugi raz szczelność ubioru, po czym, spakowawszy notatki i rzeczy prywatne, z uśmiechem przywitał mnie Hevarr, nasz przewodnik:

– Witam, doktorze! Górskie powietrze dało spokojne sny?

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem, rozciągając się jeszcze – Bardzo dziwne, abstrakcyjne sny.

Hevarr zaśmiał się, przerzucając torbę przez ramię.

– Wie doktor, bogowie patrzą tutaj uważnie. Być może sam Wszechojciec zesłał na doktora jakieś wizje?

Zaśmiał się jeszcze, po czym poszedł wydać polecenia reszcie ekipy. Poszedłem za nim, również się śmiejąc.

Słońce świeciło, odbijając się od wszędzie leżącego, skrzypiącego pod stopami śniegu. Było mroźno, a niebo było całkowicie błękitne i bezchmurne. *Piękna pogoda*, pomyślałem. Stopy nam grzęzły, przedzieraliśmy się, podnosząc nogi bardzo wysoko. Opóźniało to nasz marsz, ale byliśmy już bardzo blisko. Zerknąłem przed siebie. Zarys góry rysował się przede mną. Szczytu nie widziałem, gdyż zbierała się mgła, czy też chmury. Przystanąłem na chwilę, aby podziwiać ten cud natury. Wszędzie wokół majestat wznoszących się ośnieżonych szczytów. Aż wypuściłem z płuc więcej powietrza, które zamieniło się prędko w ogromną chmurę pary. Hevarr stanął obok mnie z uśmiechem.

– Piękne, co? Najpiękniej ze wszystkich dziewięciu światów.

Ruszył, a ja za nim. Postanowiłem zagadać:

– Naprawdę, Hevarr, wierzysz w to? To znaczy... W wierzenia Twoich przodków?

– A czemu nie? Bogowie codziennie pokazują nam swoją łaskę, lub jej brak. A to, jak piękny jest nasz świat i jak wiele dziwów jest na nim tylko udowadnia, że gdzieś może być pozostałych osiem.

Nie komentowałem tego, aczkolwiek powodowało to u mnie tylko pobłażliwy uśmiech. Szliśmy dalej. Nim się obejrzeliśmy, była już pora obiadowa, mimo, że nie przeszliśmy aż tyle. Zasiadliśmy przy ognisku i wkrótce, z zawieszonego nad nim kotła, podano nam pyszną, mięsną potrawkę. Po posileniu się, chwilę odpoczęliśmy i znowu ruszyliśmy naprzód. Głównie rozmawialiśmy o tym, co nas otaczało, a z racji tego, że krajobraz był oszczędny,

powtarzaliśmy tematy. Nie mogłem wyjść spod wrażenia monumentalności górskich szczytów, które nas otaczały. Myślałem nawet, że w tym, co mówi Hevarr była jakaś mądrość. Tak piękne widoki mogły nas napawać myślą, że jest za nimi coś więcej. Znacznie więcej.

Był wieczór, gdy złapał nas intensywny śnieg. Rozbiliśmy obóz u stóp wzgórza. Upierałem się, żeby je przejść, skoro jesteśmy blisko, ale Hevarr postanowił zostać.

– Bogowie się rozgniewali – mówił.

Postanowiłem więc położyć się spać. Jednak nie mogłem usnąć. Znow zasiadłem do notatek. Nie dało się z nich niczego wywnioskować. Bezsensowny bełkot szalonego człowieka. Powtarzane z uporem słowa, które nie sklejały się w żadną sensowną myśl.

Góra, Kruki, Yggdrassil, On patrzy.

Jak losowo wyrzucane słowa. Starałem się je jakoś połączyć w logiczny ciąg, znaleźć klucz, którym mógłbym się posłużyć. Na darmo. Stwierdziłem, że odsłonię płachtę wejściową od namiotu, dotlenię się. I tak zrobiłem. Wydmuchiwałem wielkie chmury pary z ust, obserwując majaczący za śniegiem zarys góry. Była piękna.

Nagle moją uwagę przykuła sylwetka stojąca na środku obozu. Stwierdziłem, że to dziwne i tak jak stałem, w podkoszulku i luźnych spodniach, wyszedłem na zewnątrz. Gdy dotarłem do owej osoby i dotknąłem jej, chcąc zwrócić uwagę, że zamarznie, wyczułem drewno. Spojrzałem na jej twarz i wtedy zrozumiałem, co widzę.

Na palu była nabita ludzka, ociekająca krwią głowa. Miała szeroko otwarte przekrwione oczy, strzępy skóry i mięsa zwisające z szyi. Zamarłem w przerażeniu. Rozpoznałem go jako jednego z naszych tragarzy. Wpadłem w panikę. Zacząłem szybciej oddychać, moje serce biło tak mocno, że myślałem, że wyrwie się z piersi.

W przypiływie adrenaliny pobiegłem do namiotu tragarzy. Odsunąłem płachtę i ujrzałem istną rzeź. Wybebeszone ciała z jeszcze dymiącymi od ciepła wnętrznościami. Ślady krwi na ziemi i nakreślone dziwne symbole. Tego było za dużo. Od razu rzuciłem się w kąt i zwymiotowałem. Gdy skończyłem, zwymiotowałem ponownie. Próbowałem się uspokoić, ale nie potrafiłem. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że morderca musi tu jeszcze być. I muszę uciekać. Wybiegłem z namiotu, ale to, co dostrzegłem, wprawiło mnie niemal w obłęd.

Przede mną unosiła się pokraczna, dziwna, humanoidalna ciemna postać, wokół której rozlewał się czarny dym, jakby ktoś wkroplił tusz do wody. Miała parę kruczych skrzydeł wyrastających w miejscu rąk. Nogi zwisały bezwładnie, a tors pokryty był licznymi szwami i wypustkami, z których sączyła się ciemność. Głowa była ni ludzka, ni krucza, coś na kształt masek doktorów z dawnych lat. Tylko wrośnięta w twarz i jakby bardziej kostna. Dziób był nienaturalnie wielki i długi, także bardzo masywny. Oczu nie widziałem. Miejsce, gdzie powinny się znajdować, było całe porośnięte czarnymi piórami. Nie mogła, ale miałem wrażenie, że przez sekundę patrzyła prosto na mnie, po czym poruszyła swoimi ogromnymi skrzydłami i wzbiła się, rozbijając na boki spadający śnieg. Spojrzałem za nią w niebo i dostrzegłem, że nad nami pełno było takich pokracznych kreatur. A im bliżej góry, tym więcej.

Wtedy ujrzałem idącą w moją stronę postać. Z trudem sunęła nogami. Gdy się zbliżyła, zobaczyłem Hevarra. Miał wyklute jedno oko, z oczodołu spływała krew.

– Panie doktorze...

Złapałem go w ramiona, gdy opadł z sił. Nie wiedziałem o co pytać najpierw.

– Hevarr! Co się stało!? Kto to zrobił!? Co z twoim okiem!?

Hevarr zbliżył do mnie twarz. Był bardzo słaby. Usłyszałem jedynie:

– Oko... Jest... Za mądrość...

Po czym zobaczyłem, jak zza jego pleców, szerokim łukiem, leci w moją stronę nóż. Odrzuciłem go na dystans, ale ostrzem sięgnął mojej twarzy, raniąc mi policzek. Szybko okazało się, że zmęczenie było fortelem. Dopadł do mnie, przycisnął mnie do ziemi i wymierzył ostrzem w moją stronę. Trzymałem jego nadgarstki najsilniej, jak umiałem, ostrze drgało przez nasze siłowanie się. Na jego twarzy był szaleńczy uśmiech.

– Śmiałeś się z wiary moich przodków! ŚMIAŁEŚ SIĘ! A teraz zginiesz dla ich uciechy! Wszechojciec szepcze do mnie! Yggdrassil, tak! Jego korzenie są blisko. Góry Jotunów, już niedługo! Przyjmiecie mnie do Walhalli! BĘDĘ Z WAMI UCZTOWAŁ! Aoth! Abaoth!

W momencie, gdy zaczął się upajać swymi chorymi wizjami, udało mi się go nieznacznie odepchnąć. Na tyle jednak skutecznie, że teraz ja mogłem przygwoździć jego.

– Co to ma znaczyć!? Ty ich zabiłeś!? Dla bogów!?

Uśmiech nie schodził z jego twarzy. Zęby zaciskał tak mocno, że miałem wrażenie, że zaraz pękną.

– Nie pojmiesz ich woli, głupi człowieczku! Oni są więksi niż ja i ty, niż ktokolwiek! Aoth! Abaoth! Ah, nareszcie nadejdą te czasy! Wszystkie dziewięć światów!

Nagle wyswobodził rękę i uderzył mnie w twarz. Chwile słabości wykorzystał, aby przetoczyć się i docisnąć mnie do ziemi. Nie dałem się jednak i zaczęliśmy się tak toczyć do momentu, gdy ja byłem na nim. Wtedy, w przyływie emocji, uderzyłem go głową w jego czoło. Jego głowa odskoczyła do tyłu, a ja, w szoku i przerażeniu, zacząłem biec przed siebie. Z zalaną krwią twarzą i opętańczym śmiechem, rzucił się z nożem za mną w pogoń. Biegłem przed siebie, nie oglądałem się. Jedyne, co mi towarzyszyło, to skrzypienie śniegu pod stopami i ten szaleńczy, świdrujący śmiech. Biegłem tak długo, że w końcu zorientowałem się, że nie słyszę Hevarra. Tylko świst wiatru. Gdzie ja byłem? Gdzie dobiegłem?

Nie miałem czasu na zastanowienie się. Zaraz poczułem zimną stal wbijającą się w mój bok. Nóż trzymany przez dłoń, którą już znałem. Odwróciłem się i zobaczyłem zakrwawioną twarz Hevarra uderzającą w moją. Upadłem. Wydarł nóż z mojego boku. Broczyłem krwią na śnieg, tworząc czerwoną kałużę. Starłem się uciskać to miejsce najmocniej, jak się dało. Wizja śmierci na tym lodowym pustkowiu nie wydawała mi się zachęcająca.

Hevarr stanął nade mną. Nóż miał opuszczony nisko. Zrobił głęboki wdech i wydech, jakby napawał się chwilą.

– Ciebie, przyjacielu, poświęcę Odynowi.

Jego druga dłoń zapłonęła zielonym ogniem. Wtedy, dwa z krążących po niebie stworów zaczęły się do nas zbliżać. Hevarr rozłożył szeroko ramiona i patrzył na nie.

– Huginie! Muninie! Przyjmijcie tę oto ofiarę! Ponieście ją na swych kruczych skrzydłach przed oblicze Wszechojca! A mnie wraz z nią.

Krucze postacie obniżyły się na skrzydłach, jedna po jego lewej, druga po prawej stronie. Unosiły się w miejscu, złowrogo wyjąc. Hevarr nachylił się nade mną i szepnął:

– Ciesz się. One zaprowadzą Cię przed oblicze Odyna.

Ostatkiem sił chwyciłem nóż za ostrze i nakierowałem na jego udo. Moja dłoń wypełniła się krwią, ale byłem w takiej adrenalinie, że z całym impetem wbiłem ostrze w jego nogę. Zawył okrutnie. Płomień na jego dłoni zgasł i bestie zaczęły być bardziej niespokojne. Jedna wbiła dziób w bark Hevarra, przebijając go na wylot. Druga zgmiotła jego rękę. Zaryczał z bólu, a one wzniosły się i uleciały z powrotem do pozostałych. Gdy największy szok minął, wstałem i rozejrzałem się. Zacząłem powoli kroczyć w jednym kierunku, mając nadzieję, że trafię do obozu. Po chwili jednak wiedziałem już, że poszedłem zupełnie gdzie indziej.

Ujrzałem to wśród wichru i śniegu. Zarys ogromnej góry, której szczyt skryty był bardzo wysoko, poza zasięgiem wzroku człowieka. Zbliżyłem się do niej na tyle, aby stanąć u jej stóp, kiedy zauważyłem, że śnieg przestał sypać, wiatr ucichł.

Zadarłem głowę wyżej, by

dostrzec wbijające się w zbocze przepastne, gargantuiczne korzenie ciągnące się ku niebu.

Przetarłem oczy, niedowierzając. Jak w moim śnie. Zacząłem iść po korzeniach, licząc na to, że znajdę odpowiedzi na pytania, które spędzały mi sen z powiek: *Co zobaczył profesor?*

Korzenie były dziwne. Wzdłuż nich ciągnęło się coś na kształt żył. Półprzezroczyste, długie, organiczne narośle transportujące jakiś płyn i rytmicznie pulsujące. Wraz z wysokością były coraz większe i liczniejsze. Były czerwone, nienaturalnie czerwone.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo wysoko, a ciśnienie absolutnie nie ma na mnie wpływu. Jakby cała góra była otoczona czymś w rodzaju...

Magii?

Było to irracjonalne, ale nie mogłem tego lepiej nazwać w swojej głowie. Szedłem dalej, wzdłuż coraz grubszych żył, przerastających już wysokością i szerokością dorosłego człowieka. Usłyszałem wtedy ten dźwięk. Wycie krukopodobnych istot. Leciały właśnie do tego miejsca.

Kontynuowałem wspinaczkę. Nic mnie już nie mogło powstrzymać. Ani krwawiący bok, ani rozcięta dłoń, ani zakrwawiona twarz. Musiałem wiedzieć, co było na tej górze. I z perspektywy czasu, żałuję swojego wścibstwa. Bo oto w końcu, gdy byłem praktycznie pod szczytem, zobaczyłem to, co było tajemnicą tego miejsca.

Żyły schodziły się w jednym miejscu, tworząc spleciony trzon, coś na kształt pnia drzewa. Wewnętrzny płyn niekiedy delikatnie rozbłyskał się na czerwono. Sam splot był średnicy kilkuset metrów. Był potężny, wielki, monumentalny. Nie to jednak doprowadziło do tego, że chciałem zawrócić.

Powyżej pnia znajdowały się wtopione w niego, czerwone, podobnie półprzezroczyste twarze. Wszystkie skrzywione w grymasie bólu i cierpienia. Niektóre się ze sobą łączyły, jakby były stopione. Mógłbym przysiąc, że niekiedy wydobywały się z nich ciche jęki bólu i agonii. Wyżej żyły te rozchodziły się na wszystkie strony, jak gałęzie drzewa. I ciągnęły w otwartą, nieskończoną, kosmiczną przestrzeń.

Podszedłem bliżej. Skierowałem dłoń, aby dotknąć pnia wielkiego drzewa. I wtedy to zobaczyłem. Wiszącego na nim, przebitego gałęziami człowieka. Miał jedno oko i konał tak przez dziewięć dni i nocy. W ostatni dzień poznał znaczenie i sens dziwnych, przypominających runy, ale bardziej plugawych symboli. Nie miał oka. Odyn.

Ujrzałem dziewięć światów. Dziewięć domen połączonych gałęziami tej pokracznej istoty wyglądającej jak drzewo. Wszystkie dziewięć.

Midgard

Asgard

Vanaheim

Svartaheim

Hel

Muspel

Nilfheim

Jotunheim

I Alfheim

Alfheim zniszczony. W ruinie. Potem znów piękny, radosny, tętniący życiem. I jego zagładę. Zagładę Alfheimu. I przeraziłem się na dantejskie sceny, które zobaczyłem. Dziś pamiętam tylko emocje. Strach. Grozę. Nieopisany ból. Ale nie obrazy. Obrazy wypadły tak szybko, jak się pojawiły.

Zobaczyłem pustkę kosmosu. I ich. Asów. Ale byli inni niż w nordyckich mitach. Bardziej przerażający. Bardziej plugawi.

A potem...

Potem zobaczyłem zagładę Midgardu. Upiorne wizje końca, gdzie wielki wąż, Jormungandr, w akompaniamencie wrzasków cierpienia i agonii ludzi, burzy wszystko, co spotka. Niebo było krwiste czerwone, a planety na nim nienaturalnie ogromne. Otworzył się kosmos. A czuć było tylko siarkę.

I krew.

A na koniec, cztery postacie. A jedną z nich był właśnie Wąż Światów.

Książęta...

Odrzuciło mnie od drzewa, aż usiadłem na górskim stoku. Wpatrywałem się w jego pień, tak naprawdę patrząc tępo przed siebie. W zgrozie i przerażeniu podniosłem głowę wyżej, patrząc na twarze. I mógłbym przysiąc, że zanim stamtąd uciekłem, wyszeptały do mnie, wszystkie, jedno zdanie:.

Wasz świat też zginie